TYGODNIK KATOLICKI.

1868. Grodzisk, 11 grudnia. №. 50.

Tygodnik katolicki wychodzi co tydzień w Piątek. Cena prenumeraty 1 Tal. ćwierćrocznie. Listy z zagranicy adresować należy do Poznania (Posen, Grand Duché de Posen). Redakcyja odbiera tylko frankowane korespondencyje. Rękopisy zwracają się tylko na wyraźne poprzednie żądania. Po użyciu ulegają niezwłocznie zniszczeniu.

Marya Moerl.

(Dokończenie.)

Dary szły za darami. W dowód miłości i szczególniejszego spodobania się Bogu otrzymała także Mörl rzadki przywiléj przewidywania, przeczuwania rzeczy, jakie zwyczajnym śmiertelnikom są zakryte. Na stwierdzenie tego przytaczają następujące zdarzenie. Skradziono jéj srebrną kropielniczkę. To mocno ją dotknęło, i prosiła usilnie Boga, aby rzecz ta była jéj zwróconą. Jakoż po kilku dniach gorących modłów kazała pilnie szukać w kuchni, gdzie téż istotnie zgubę znaleziono podrzuconą między innemi sprzętami. Inną razą zauważył Spowiednik i otaczający ją, iż z wielką niespokojnością wskazywała na sufit, jakoby ztamtąd groziło jakie niebezpieczeństwo. Zrazu nie mogli się dorozumieć, coby to znaczyło. Wreszcie pokazało się, że jedna z belek całkiem już była spróchniała i lada chwilę załamać się mogła. Na wiele lat wprzód przepowiedziała godzinę swéj śmierci, mówiąc, że ta nastąpi, jak wszystko będzie białém. Miało się to odnosić do stigmatów, które istotnie krótko przed jéj zgonem zbielały, a przy samém skonaniu znikły zupełnie. Przeczuwała wszystkie Msze św., jakie się w Kaltern i pobliżu odprawiały. Uderzało częstokroć otaczających, że nieraz Marya nagle, lotem błyskawicy zrywała się z pościeli i padała na twarz, oddając komuś głęboki pokłon, albo unosiła się w powietrze z rozciągniętemi ramiony, jakoby kogoś przybywającego witała, a potém znowu cicho opadała na łoże. Kiedy dochodzono przyczyny tego zjawiska, wykazało się, że ten nagły jéj ruch i dziwne branie się przypadało dokładnie na czas podniesienia w jednéj z Mszy świętych w blizkości lub w miejscu samém odbywanych.

Ta cudowna zmiana, jaka zaszła w jéj wewnętrznem życiu, musiała wywołać koniecznie zmianę i w codziennem. Niemoc, która ją na zawsze powaliła o łoże, uniemożebniła jéj czynne zarządzanie domem. Jednakże z początku nie przestawała w chwilach wolnych od cierpień i zachwyceń naradzać się z ojcem nad potrzebami i stosunkami rodzinnemi. Późniéj i to się zmieniło. W miarę, jak Bóg ją coraz bardziéj do siebie pociągał, z Sobą łączył, we wyższe unosił sfery, rwały się węzły jedne po drugich, co ją do téj ziemi krępowały. Swiat jéj obojętniał, znikał z przed oczu, wszelkie ziemskie uczucia zwolna wymierały w jéj sercu, aby ustąpić zupełnie miejsca innemu, daleko wyższemu i szlachetniejszemu pociągowi, to jest miłości Bożéj. Dla tego z czasem zaprzestała całkiem znosić się z ludźmi, troskać się o sprawy doczesne, nie mówiła ani słowa do nikogo, nawet do ojca, dla jednego tylko Spowiednika była jeszcze przystępną. Na jego tylko rozkaz używała nieco snu, przyjmowała nieco pokarmu, który ostatecznie ledwo się z kilku jagód winogrona składał; z nim jednym mówiła jeszcze o stosunkach familijnych, ale rzadko i krótko, on jeden zakreślał granice jéj zachwytom — jedném słowem, on jeden trzymał ją jeszcze na téj ziemi, a to wszystko na mocy posłuszeństwa, które Bogu ślubowała. Ona już za życia zmarła dla świata, żyjąc jedno Bogu. Jéj téż potrzeba było miejsca, któreby więcéj odpowiadało ciszy i świętości jéj serca, i dla tego przeniesiono ją z domu rodzicielskiego do tamecznego klasztoru żeńskiego. A że dla znanéj niemocy bywać na nabożeństwach nie mogła, wybrano dla niéj taką celkę, któréj jedno okno wychodziło na kościół i otwierało widok na wielki ołtarz. Tu ze swego łoża, nie czyniąc kroku poza próg, mogła Marya swobodnie przyglądać się Mszy św., która się tam od czasu do czasu odprawiała. Nadto w saméj izdebce ustawiono ołtarzyk, gdzie dwa razy tygodniowo za zezwoleniem Władzy duchownéj ku niewypowiedzianéj radości Maryi naszéj odbywała się Przenajświętsza Ofiara. I tak w tym ubogim zakątku, zaledwo pare stóp długim, nie mającym żadnych ozdób, żadnych sprzętów, prócz lichego tapczana i prostéj klatki po synogarlicy, z którą się czasami bawiła dawniéj Mörl, przepędziła żywot wielka Wybrana naszego wieku zwykłym swym trybem, cierpiąc, modląc się, unosząc się ku Bogu, jedném słowém, żyjąc tém, czém inni umrzećby powinni, aż do jesieni 1867 roku. Od tego czasu poczęła z sił opadać. Widocznie koniec jéj się zbliżał. Jeden jeszcze wypadek zmącił i zatruł ostatek dni jéj. Była to burza w świecie politycznym, która się świeżo zerwała przeciw łódce Piotrowéj. Marya Mörl przeczuła i odczuła tę opłakaną chwilę. Od 8 września bardzo posmutniała. Z każdym dniem była niespokojniejszą. Trwoga, ból, żal szarpały, miotały jéj duszą straszliwie. Ale bo téż to był czas najniebezpieczniejszy dla całego chrześciaństwa. Wtedy to właśnie zbrojne hufce wrogów przekraczały zewsząd granice państwa kościelnego z owym piekielnym okrzykiem: śmierć papieztwu i Kościołowi. Przy końcu października Mörl się znów uspokoiła. Rzeczywiście téż październik sprowadził pomoc francuzką — Rzym był zabezpieczony a Mentana blizką. Naszéj Maryi z ustaniem niebezpieczeństwa wrócił spokój, ale już nie siły. Przebyte co dopiero udręczenia strawiły do reszty to wątłe życie, i tak już tylko cudem podtrzymywane. Znamiona męki bie-

lały coraz bardziéj, aż w końcu znikły prawie całkiém, zaledwo dojrzane zostawując ślady. To był wedle przepowiedni Moerl niehybny znak blizkiéj jéj śmierci. Jakoż 11 stycznia 1868 lekko Bogu ducha oddała. Taką była Marya Mörl z Kaltern.

Świat, który zwykł ludzi mierzyć talarem i wartość człowieka cenić wedle otrzymanych zysków, zapyta może, cóż społeczeństwo miało z téj uwielbianéj Maryi za korzyść? Powie może, cóż po takich ludziach na ziemi, co się wciąż modlą a nic dla ludzkości nie czynią? Zapewne — Marya Mörl nie występowała na scenie, nie słynęła wdziękami ani bogactwy, nie obracała się w świetnym kole — owszem wszystko się składało na to, aby tę cichą i potulną z natury już postać tém skromniejszą i mniejszą wedle rozumienia ludzkiego uczynić. Nie ma więc prawa do poklasków, ale ma zawsze prawo do sprawiedliwości. Tak my przynajmniéj sądzimy. Mörl bowiem mimo to, że nie żyła dla świata, pożyteczną wielce była światu w swoim rodzaju.

Już tego samego pomijać nie należy, iż obowiązki swego szczupłego zakresu wypełniła jeśli nie lepiéj, to przynajmniéj tak dobrze, jak każda inna niewiasta w podobném znajdująca się położeniu. Widzimy Maryą zaradną gospodynią, pracującą z wysileniem nad utrzymaniem niknącéj ojcowizny, i rozsądną, czułą opiekunką dla osieroconéj a drobnéj jeszcze rodziny. Nawet późniéj, kiedy Bóg coraz bardziéj zagarniał jéj duszę na wyłączną swą własność i służbę, nie omieszkuje w chwilach wolnych troszczyć się o potrzeby swéj rodziny, i czego osobiście nie czyni, to czyni przez swego spowiednika. Widzimy ją daléj wierną aż do ostatka swéj najpierwszéj cnocie, to jest miłosierdziu. Sama biedna dzieli się szczérze z biedniejszymi od siebie szczupłemi swemi zasobami. A kiedy późniéj osobiście spełniać już nie mogła tego szlachetnego uczynku, każe się i w tém wyręczać swemu spowiednikowi. Marya więc czyniła, co mogła, aby być pożyteczną społeczeństwu i spłacała długi rzetelnie, jakie świat w zamian za to mało, co jéj dawał, do niéj słusznie czy niesłusznie rościł.

Pod tym względem stoi Mörl na równi z każdą choćby najzacniejszą z niewiast ludzkich. Proste zaś uczucie sprawiedliwości nakazuje, co najmniéj, uznać to w jednéj, co się w drugiéj uwielbia. Ale niezrównanie większe są jéj zasługi na polu moralném, i na to główną wagę położyć wypada.

Małoć się zazwyczaj cenią zasługi tego rodzaju, a przecież są one nieoszacowane. Marya Mörl mimo wiedzy może wywierała nader zbawienny wpływ na całe otoczenie. To niosła ze sobą jéj świętość anielska. W samém Kaltern od czasu, jak Bóg ją postawił na świecznik, wielka w obyczajach zaszła zmiana. Nastała między ogółem większa pobożność, większa wstrzemięźliwość, trwalszy spokój, częstsze przystępowanie do Sakramentów, a tém samém i większy ład, porządek, oszczędność i uczciwość w pożyciu i rzeczach doczesnych. Nie mniéj błogo działała na tych, co z daleka przychodzili ją nawiedzać. Bardzo wielu na sam widok Maryi rozpływało się we łzy i biegło do konfesionałów wyrzekać się brudnego swego życia. Uboga izdebka w nieznaném przedtém Kaltern stała się z czasem głośnym na daleki świat trybunałem, gdzie każden mógł być pewien nieubłaganego ale sprawiedliwego dla siebie wyroku. Tu jedni wyczytywali wyrzut, drudzy zachętę. Tu nieraz jedno poruszenie, jedno westchnienie, jeden przenikliwy rzut oka Maryi albo kruszył, albo zagrzewał, albo przynajmniéj zawstydzał widzów. Ileż to w ten sposób wróciło tu ztąd do swych domów poprawionych ojców, nawróconych synów, zmiękczonych grzeszników wszelkiego rodzaju i wszelkich stanów z tém mocném postanowieniem, odtąd lepiéj służyć Bogu i ludziom. I czyż tego nie nazwiemy szacownym dla nas zyskiem a nieocenioną téj świętéj zasługą? A ileż to zdziałały jéj skryte modlitwy! Mörl zarzuconą była prośbami rozlicznemi. Zewsząd, z ostatnich nieraz krańców świata, szły polecenia do Kaltern. Święta upadała pod ich brzemieniem, a im dłużéj, tém było trudniéj, bo przedziwny był skutek jéj wstawienia się.

Marya dziś w grobie, a wielbią ją jeszcze całe rodziny i okolice, tysiączne usta i tysiące serc za wyproszone dary, uzyskane łaski, ocalony dobytek lub zdrowie, za odwrócenie tych niezliczonych plag, jakie dotykają rodzaj ludzki. A kiedy wspólnéj Głowie chrześciaństwa zagrażało niebezpieczeństwo i cały świat katolicki niósł ochoczo swój grosz i swą krew na obronę Rzymu, niesie i Marya z Kaltern swą cząstkę. Podwaja swoje modlitwy i bierze na się część pokuty na ukojenie niebios tak, iżby mogła była do siebie zastósować to, co wyrzekł o sobie niegdyś Paweł św.: „Który się teraz raduję w utrapieniach za was i wypełniam to, czego nie dostawa utrapieniom Chrystusowym w ciele swoim za ciało jego, które jest Kościół.“ Kolos I. 24. Nie dano nam dojrzeć, ile jéj łzy i przyjęte krzyże wpłynęły na plany Boże i Kościoła, ale że mogły wpłynąć, tak musimy wierzyć, bo powiedzianém jest, że modlitwa sprawiedliwych wiele może. I nie sąż to prawdziwe zasługi położone około wspólnego dobra? Co więcéj.

Gdy inni śmiertelnicy umierają, umierają i ich prace. Ze śmiercią Maryi bynajmniéj się nie kończy jéj błogosławiony wpływ na ziemi. Przy tylu dowodach jest nadzieja, że Kościół, który jeden tylko umie należycie takie skarby cenić i zachowywać, wnet wpisze to świeże imię w poczet swych świętych, a wtedy Mörl służyć będzie i nadal światu z ołtarza, jak mu dotąd służyła ze swéj celi. Ale te zasługi to już chyba sądy Boże ostateczne wykażą.

KORESPONDENCYJE.

(*Fp.*) **Rzym**, 2 grudnia.

Agiencya Havas rzuciła w świat wiadomość wierutnie fałszywą, że Ojciec św. potwierdził wyrok, skazujący na śmierć Montego i Tognettego. Podłe to sposoby zemsty za dopełnienie sprawiedliwości na zbrodniarzach.

Ojciec św. nigdy nie potwierdza wyroku na śmierć.

Jeżeli smutna konieczność, ważne okoliczności, wielkość zbrodni, potrzeba odstraszającego przykładu, wymagają tego, żeby dopełniono sprawiedliwości surowéj: Papież, nie mogąc winnego ułaskawić, milczy; lecz nie potępia sam, nie skazuje na śmierć ni-

kogo, nie maże się krwią, choćby dla pomszczenia zgwałconego prawa przelaną.

Rząd papiezki uniknąć chciał nawet cienia demonstracyi, i dla tego nie kazał ściąć winowajców w rocznicę popełnienia zbrodni. Dzień smutku 22go października i dzień walki i tryumfu 3go listopada obchodzono w Rzymie uroczystém nabożeństwem, cichą modlitwą za dusze poległych, którzy padli ofiarą zamachu garybaldczyków.

Do tyla lękano się, żeby chrześciański święty obrząd nie wydał się marnym odkazywaniem się wrogowi, że nawet napisu nie dano na katafalku, wystawionym podczas nabożeństwa za dusze poległych, w obronie Ojca św.

Że wiadomość o egzekucyi *Montego i Tognettego* rozwściekli rewolucyonistów włoskich, można było z góry przewidzieć.

Z dwóch pism, *Opinione nazionale*, organu byłego ministra *Ratazzego* i *Nazione*, organu obecnego ministra *Manebrei*, mogą czytelnicy *Tygodnika* powziąć wyobrażenie, co wygadują inne, jeszcze skrajniejsze, jeszcze bezczelniejsze pisma rewolucyjne włoskie.

„Włosi, woła Opinione nazionale, przywdziejmy żałobę, posypmy głowę popiołem; ciężki nas cios dotknął. Głowy Montego i Tognettego spadły z szafotu rzymskiego. Wczoraj o 7 godzinie na placu Cerchi kat Namiestnika Chrystusowego ściął głowy dwu synów Italii.

Biedne ofiary! Jeszcze wczoraj rusztowanie wznosząc ramiona ku niebu, zdawało się wywoływać pioruny. A szczęście, jeśli Watykan w pyrzynę się obróci, nim zemsta Włochów nad Rzymem zaciąży; bo zemsta Italii przewyższy zapalczywość piorunów. Hańba wieczna Papieztwu doczesnemu. Hańba Włochom, którzy mogąc, nie biegną, by je zniweczyć. Włosi! przywdziejmy szaty żałobne na tak długo, aż nieszczęśliwi nasi bracia nie będą pomszczeni!“

Nazione ministeryalna nie walczy frazesami, jak *Opinione;* chciałaby sprawę tę przenieść na pole praktyczne, w dziedzinę polityczną. Pyta: czy po egzekucyi wyroku na Montim i Tognettim będzie Francyi podobną bronić nadal Stolicy św. Naród, prawi, który na swych sztandarach wypisał, że bronić chce każdéj sprawy słusznéj, powinien bez zwłoki opuścić państwo papiezkie.

Wedle *Nazione* zdaje się zamach na koszary Serristori był rzeczą słuszną. Papiezki rząd potępiając jego sprawców, staje się zbrodniczym i niegodnym opieki szlachetnego narodu francuzkiego.

Żeby tak rozumować, potrzeba nie mieć rozumu, lub rozum zaćmiony namiętnością bandyty: boć tąż logiką każdy rozbójnik mógłby zbrodniczym nazwać swego sędziego.

Do zaszczytu mianowania się „braćmi“ zbrodniarzy Montego i Tognettego nie wszyscy zapewne Włosi przyznać się zechcą: ale liberały włoskie, frankmasony, jak Ratazzi i jego zwolennicy, nie dziw, że łzami gorzkiemi płaczą nad „biednymi ofiarami“, i że żądają zemsty za głowy „swych braci“ a „synów Italii, Italii jednéj, rewolucyjnéj!

Rząd papiezki każe stracić dwóch zbrodniarzy, których wina najcięższa; każe legalnie dopełnić sprawiedliwości, wyroku, jaki zapadł po długim, bo całorocznym badaniu, roztrząsaniu ich sprawy: i za to „hańba Papieztwu doczesnemu.“

Ale kiedy w *San Donnino*, na jednym z przedmieść Bolonii 23 listopada, wojsko strzelało na lud, aby przełamać jego opór naprzeciw coraz to cięższym prawom podatkowym, i kiedy na pierwszy strzał jedenaście ofiar padło trupem, bez sądu, bez wyroku, doraźnym prawem przemocy: to oczywiście za tę krew włoską przelaną zemsty wołać nie można, ani hańbą okrywać rządu, bo czemuż nie chcą oddawać ostatniéj poduszki i ostatniéj sukni na rzecz jednéj Italii?

W królestwie jednéj Italii gwałt uświęcony; w Rzymie prawo i sprawiedliwość mają się stać bezsilne: otóż, czego żądać się zdają liberałowie włoscy.

Co największą hańbą okrywa naród włoski: otóż nawet *Menabrea*, minister i prezydent Rady, na posiedzeniu parlamentu śmiał uwłóczyć rządowi papiezkiemu; śmiał oświadczyć, że zabolał w sercu i oburzył się na wiadomość o straceniu dwóch skazanych; śmiał się wyrazić, że głos oburzenia jednozgodny i ludu i parlamentu włoskiego ukarał już nieludzkość Rzymu papiezkiego; śmiał twierdzić, że zamach z d. 22 października był „kwestyą polityczną.“

Tymi słowy zapisał na kartach historyi swe imię ku wiecznéj niesławie i ohydzie.

Ciekawy jest sąd jaki wydaje korespondent rzymski do liberalnéj *Liberté* o Montim i Tognettim:

„Dwaj ci skazani, prawi, nie zasługują na współczucie, ani ich zaliczyć należy do męczenników politycznych, jak to niezawodnie uczynią włoskie dzienniki partyi czerwonych. Monti 33, Tognetti 23 lat wieku liczą by nie są z liczby tych, co walczą i giną za swe przekonanie. Byli to sobie dwaj prości mularze, urwisze najniegodziwsi, goście stali szynków, sztyletnicy, którzy za 20 skudów *zgodzili się podłożyć ogień pod miny, zaprowadzone pod koszarami Serristori, przez agentów Ratazzego*, pod miny, których wysadzenie w powietrze zniszczyło jedno skrzydło koszar i przyprawiło o śmierć 25 żuawów. *Monti i Tognetti uczynili to dla sprawy Mentany i Aspromonte*; lecz toż byliby uczynili dla jakiego głowacza legitimistów. Mało im zależało na tym, kto był sprężyną zbrodni; im szło o 20 skudów, o *fiaschi* (flaszki), o biesiadę, jakąby sobie sprawili.“

Czyż, pomijając obelgę naprzeciw legitimistom, nie ciekawy sąd korespondenta o całéj téj sprawie tyle zresztą wzburzającéj Italianissimów.

Wypowiedział on jawnie, co zresztą nie jest bynajmniéj rzeczą tajną, kto sprawcą głównym zamachu na koszary Serristori; a słowa jego, któreśmy podkreślili, tłomaczą dokładnie uderzające to zjawisko, że prasa włoska, minister i parlament włoski tak płaczą nad biédnymi ofiarami — swéj przewrotności.

Trybunał najwyższy Konsulty, który dnia 18 października wyrokował o winie Montego i Tognettego, oraz innych szesnastu, wykrył dowodnie, że wina tego zamachu cięży na takich ludziach, jak *Cucchi*, deputowany do parlamentu włoskiego, jak *Garibaldi*, a nawet że *rząd włoski* miał w nim bezpośrednio udział.

Włosi rewolucyjoniści płaczą nad śmiercią Montego i Tognettego, zowią ich swymi braćmi, biednymi ofiarami; a otóż oni nieraz, po tysiąckroć przed śmiercią powtarzali: *„Gl' infami ci hanno ingannati“* „bezecnicy uwiedli nas“, i nie mało pracować było

trzeba kapłanom, żeby ich natchnąć wolą przebaczenia tym „bezecnikom".

Monti mniéj zatwardziały, wcześnie poddał się z rezygnacyą wyrokowi. *Tognetti*, który się długo spodziewał ułaskawienia, nie chciał długo przyjąć św. sakramentów, gdy mu atoli oznajmiono dzień śmierci, upadł do kolan zakonnika pasyjonisty, który miał mu asystować w dzień egzekucyi, i zawołał: „I ja chrześcijanin, jako chrześcijanin chcę umrzeć; ale o tę łaskę proszę, żebym nie patrzał na tego potwora, na Montego, żeby mnie wraz z nim nie ścinano."

Gdy się wyspowiadał, łaska Boża już innego zeń uczyniła człowieka; już teraz prosił, ażeby go do Montego zaprowadzono, aby się z nim mógł pojednać. Dwaj skazani na śmierć, rzucili się sobie w objęcia, i w obliczu śmierci nauczyli się chrześcijańskiéj miłości bliźniego. *Monti*, gdy ich rozłączono, na pożegnaniu powiedział: bądź spokojny, za kilka godzin połączymy się, żeby się nigdy nie rozłączyć.

Odrodzeni przez łaskę sakramentu Pokuty, wyszlachetnili od razu w ludzkich uczuciach; *Monti* stał się na nowo ojcem troskliwym o los swoich czworo sierocych dziatek i ich matki, którą wdową miał zostawić; *Tognetti* stał się kochającym synem; obaj polecali i *suoi cari*, swych drogich kapłanom i Braciom Miłosierdzia.

Monti napisał testament i list do Ojca św. w którym mówi: że młodość jego była chrześcijańska, że przed czterema laty spotkał się z przyjaciołmi, którzy go wciągnęli do frankmasonów, że sam potępia swą zbrodnią podobnież jak ją sąd jego potępił, i że za nią przebaczenia błaga Boga i ludzi.

Całą noc przetrwali na modlitwie i rozmowach z Braćmi Miłosierdzia. O pół do szósty stanął orszak. Monti i Tognetti w bazylice Matki Boskiéj in Cosmedino wysłuchali trzech mszy św. i zasilili się na drogę wieczności wijatykiem.

Monti powtarzał ciągle z żalem: „27 ludzi zginęło, którzy nie mogli się pojednać z Bogiem." Już blizko miejsca egzekucyi Monti prosił, żeby mógł mówić z pułkownikiem Charette. Gdy ten przybył, upadłszy na kolana prosił go o przebaczenie zuawów, i żeby miano miłosierdzie nad jego sierotami. Zacny pułkownik oświadczył mu, że już wszyscy darowali, a o losie jego dzieci już postanowili pamiętać. Wtedy Monti w te piękne odezwał się słowa: „W imię Jezusa Chrystusa, przed którym mam stanąć, daj mi dowód waszego przebaczenia. Uściśnij mię." Wzruszony pułkownik Charette rzucił się w objęcia skazańca. Za Montim przypadł mu do kolan i Tognetti, prosząc o przebaczenie i miłosierdzie nad matką jego. I jego w objęcia swe przyjął zacny mąż, i jemu obiecał pamiętać o losie matki.

Poszli potym z głową zasłonioną na szafot. W pośród głuchéj ciszy, jaka zaległa tłumy, zabrzmiał wykrzyk *Tognettego*: „Mój Boże, miłosierdzia! miłosierdzia."

Bractwo Miłosierdzia przepędziwszy ze skazanymi noc, towarzyszyło im w uroczystéj, żałobnej procesyi; ciało ich pogrzebło w kościele św. Jana (San Giovanni decollato).

Marzą dziś o zniesieniu kary śmierci: jest to jedno z haseł dzisiejszych liberałów. Od nich przyjęli je już i katolicy: *krakowski Przegląd* z pism polskich występował przeciw karze śmierci zbrojny w deklamacyą Wiktora Hugo i dawnych błędników argumenta: Beccaria i Benthama. Wielu gotowych ogłosić za zbrodnią stracenie zbrodniarza, że się pozbawia życia człowieka; niepomni, że władzy nietylko pozwolił, lecz kazał Bóg winowajców karać śmiercią. To w starym Testamencie odwetu, lecz nie w Nowym miłości: odpowiadają, niebaczni, że św. Paweł wyraźnie kazał się bać zwierzchności, iż „nie napróżno ma miecz dla karania złośników." Wielu gotowych roztkliwiać się nad męczarnią skazańca umierającego wielokrotnie w duszy jeszcze, nim cios śmiertelny weń uderzy. Wiktor Hugo tak straszliwie odmalował ostatnie chwile skazańca, mającego a niechcącego umierać: a to dla *Przeglądu polskiego* jest najważniejszym argumentem przeciw karze śmierci. Czyż atoli nie ważniejsze całe społeczeństwo od jednéj jednostki? czyż społeczeństwo nie ma mieć prawa obrony własnéj przeciw targającym się na porządek społeczny jednostkom, a pomszczenie zgwałconéj sprawiedliwości czyż można równać ze zemstą, z odwetem?

Że karą śmierci, nie powiem, jest konieczna, (bo które państwo bez niéj się obyć może, które ma tyle ukształcone moralne społeczeństwo, niech ją znosi); że kara śmierci jest aktem prawym władzy w tym społeczeństwie, nie nadużyciem tyrańskim, zrozumieć to mogą ci, którzy przyjmują zasadę „władzy z łaski Bożéj". Kto sądzi, że władza jest tylko mandataryuszem ludu dla przemiennych ziemskich interesów, a nie że jest z Bożegoapostanowienia, bo z prawa przyrodzonego wykonyw nia sprawiedliwości Bożéj na ziemi, ten oczywista władzy takiéj, któraby była jedynie kreaturą ludzi, odmówić musi prawa życia i śmierci.

Liberałowie, chcący zastąpić porządek zbożny społeczeństwa swym porządkiem ludzkim, wedle formułek rozumu ciasnego zakrojonym, mają słuszność ze swego stanowiska naturalistycznego; aliści katolicy niechaj nie ważą się tego potępiać, czego nie potępił, ani potępić nie może Kościół święty katolicki.

Niechby we wszystkich krajach katolickich miasto wołać o zniesienie kary śmierci, starano się raczéj utworzyć bractwo Miłosierdzia, podobne rzymskiemu, którego członkowie, żeby nie zostawić skazańca czarnym myślom rozpacznym na pastwę, otaczają go miłością, tkliwą troską, prowadzą do pojednania się z Bogiem i do pokornego poddania się wyrokowi sprawiedliwości, jaki nań wyrzekła władza w imieniu Boga sprawiedliwego, i ciągle umysł jego podnoszą do tego Boga, przed którym będzie musiał stanąć. Takie chrześciańskie miłosierdzie, które ratuje duszę zbrodniarza, w niczém tamy nie kładąc sprawiedliwości, ani pochopu nie dając zbrodni, więcéj niezawodnie warto, aniżeli to liberałów miłosierdzie zwierzęcego, cielesnego, doczesnego życia zbrodniarza, a naraża przez to bezpieczeństwo powszechne, społeczne i ośmiela do zbrodni.

Arcybractwo Miłosierdzia przy kościele ścięcia św. Jana (St. Giovanni decollato) przez Florentczyków, którzy mieszkali w Rzymie, założone 8. Maja 1488 r. przez Innocentego VIII potwierdzone bullą 25 Lutego 1490, ma za zasadę dopomagać skazańcom do dobréj śmierci. Rząd nim ogłosi wyrok śmierci, uwiadamia Arcybractwo, które natychmiast wysyła z

grona swego członków, ażeby pocieszali nieszczęśliwego i przygotowali go do spowiedzi z całego życia i do komunii św. Już go ani nie opuszczają i przepędzają z nim całą noc w kaplicy.

Gdy nadejdzie godzina dopełnienia kaźni, całe Bractwo idzie poń do więzienia, na czele mając przesłoniony czarną krepą wielki krzyż, obok którego idą dwaj bracia z żółtymi gromnicami. W procesyi uroczystéj, śpiewając siedem psalmów pokutnych i litanią, wiodą go Bracia odziani w wór z płótna czarnego, przepasani powrozem, za który zatknięty różaniec; na kapturze czarnym wizerunek głowy św. Jana Chrzciciela na półmisku. Gdy wyrok już dopełniony, składają ciało na mary, okryte suknem czarnem, i zanoszą do kościoła swego, gdzie je chowają uroczyście.

Za dopełnienie wyroku śmierci na nieszczęśliwych ofiarach przewrotności rewolucyonistów, więcéj jeszcze, jeżeli to podobna, nieprzyjaciele Papieztwa, i Kościoła i Chrystusa nienawidzieć będą Ojca św. Piusa.

Ale Pan Bóg wynagradza go za to przedziwną miłością dusz czystych, serc niepokalanych.

Świeżo ksiądz pewien francuzki mając audyencyą u Ojca św., wręczył mu też od ubogiéj wyrobnicy pięć franków Świętopietrza, które uciułała, uszczuplając sobie chleba powszedniego. Napisała oraz list, którego nie śmiał kapłan Ojcu św. przeczytać. Teraz go zamieszczają dzienniki rzymskie. Otóż jego osnowa przepiękna:

„Niech żyje P. Jezus w sercach wszystkich!

O Rzymie! Rzymie! że ja to nie mogę iść do ciebie. O Rzymie! nie jesteśże ty miastem nad wszystkie miasta? nie jesteśże ty dla każdego serca chrześciańskiego miejscem upragnioném? miłością każdéj duszy wiernéj?

Katolicy bez ducha i bez żywéj wiary, coż czynicie? Czemuż nie spieszycie na pomoc i obronę naszego ukochanego Ojca św.? Czemuż skąpicie ofiar? czemuż nie wołacie jednogłośnie: o Boże! oddajemy się Tobie w Namiestniku Twoim Piusie IX.? Wstrzymana słabością méj płci, obowiązana z pracy rąk utrzymywać matkę drogą, nie mogę pospieszyć, dokąd wyrywa się serce. Ale choćby przyszło sprzedać ostatnią suknią, choćby połową obywać się strawy co dzień, codziennie posyłać będę do Rzymu ubogą daninę w dowód czci i miłości.

O najdroższy Ojcze św.! z jakiém uwielbieniem rzucam się w duchu do stóp twoich! Nie śmiem ich ucałować, bom biedna i nędzna wyrobnica tkacka.

Ach! racz pobłogosławić mnie i mą rodzinę, błagam cię o to. Urodzona pod opieką Matki Bozkiéj w.... wychowana przez chrześciańskich rodziców, mając za kierowników duszy świątobliwych kapłanów, sercem pojęłam, jak ważna sprawa i bój rozgrywa się w Rzymie, i odtąd ileż to westchnień, ileż łez, ileż prośb zanosiłam za Tobą do stóp Boga najlepszego. Najświątobliwszy Ojcze, jakbym pragnęła mieć dwie twoje fotografie, jednę dla matki, drugą dla siebie, kiedy nie mogę pójść cię zobaczyć. Jakbym pragnęła mieć odpust zupełny w godzinę śmierci napisany Twą ręką błogosławioną. O to Cię zaklinam, Najświątobliwszy Ojcze, pełna czci głębokiéj i uwielbienia, najniegodniejsza oraz jedna z najwięcéj Tobie oddanych służebnic.“

A. 20 Listopada 1868. *J. M.*

(τ. χ.) **Z Francyi** d. 16. listopada 1868 r.

(Piraci Algierscy. — Zdobycie Algieryi. — Biskup Pavy. — Biskup Lavigerie. — Odwiedziny cesarskie. — Szarańcza. — Głód. — Składki. — Ochronki dla biednych dzieci. — Spór Biskupa z gubernatorem. — Załatwiony pomyślnie dla Biskupa. — Zakonnice i katedra w Algieryi. — Album kościołów Francyi. — Śmierć Havina, Rossiniego, Rottszylda. — Ofiary na zuawów. — Stowarzyszenie wolnożyjących w Brukseli.)

Niema jeszcze lat 40 temu Morze Śródziemne było niebezpieczne bardzo dla żeglugi; nie z przyczyny burz, które dzisiaj są tak samo częste i równie straszne dla żeglujących jak niegdyś, i których żadna ręka ludzka uśmierzyć nie zdoła, ale z przyczyny rozbójników zwanych piratami. Mieli oni główne siedlisko swoje w Algieryi; z brzegów téj krainy wymykali się na pełne morze w lekkich barkach i zadawali nieraz znaczne klęski handlowi, napadając na okręty europejskie, które odbierali, a osady mordowali lub uprowadzali w niewolą. Sułtan Turecki nie był dość silny, aby powstrzymać te nadużycia dokonywane nieraz pod protekcyą jego lennika, Deja Algieru. Porzeba było innéj, silniejszéj ręki do położenia końca tym zabytkom barbarzyńskich czasów praktykowanym tuż obok brzegów ucywilizowanéj Europy. Wkrótce jakoś po kongresie wiedeńskim piraci zrabowali okręt jednego kupca francuzkiego i zabrali mu znaczne sumy pieniędzy. Przez lat 15 rząd francuzki upominał się o zadosyćuczynienie i zwrócenie sum zabranych, ale napróżno. Aż nareszcie policzek dany wachlarzem przez deja Algieru konsulowi francuzkiemu na publiczném posłuchaniu, przepełnił miarę cierpliwości w Paryżu. Karól X. w 1830 r. na kilka miesięcy przed upadkiem swoim wysłał armią pod dowództwem jenerała Bourmond, która miała poprzeć czynnie żądania rządu. Armia ta w połączeniu z flotą zdobyła w krótkim czasie Algier i położyła koniec panowaniu dejów. Karol X. na wygnaniu dowiedział się o powodzeniu swojéj armii; Ludwikowi Filipowi dostało się w udziale dokonać podboju całéj obszernéj prowincyi. Przez cały ciąg panowania Orleana, krwawy bój toczył się na ziemi algierskiéj; armia francuzka odnosiła świetne zwycięztwa i potrafiła nakoniec przełamać fanatyczny opór znakomitego Abdel-Kadera. Sławny wódz Arabów dostał się wreszcie do niewoli i Algierya zaczęła używać pewnego pokoju. Jedném z pierwszych dzieł Ludwika Filipa po objęciu tronu było ustanowienie hierarchii kościelnéj na ziemi podbitéj. Król ten chociaż niemający wiele religii, wiedział jednak dobrze, że oprócz siły naturalnéj jest jeszcze druga siła moralna, bez któréj piérwsza nie będzie miała żadnego znaczenia. Ustanowiono więc biskupstwo algierskie; duchowni należący do téj dyecezyi tak obszernéj jak cała Francya, mieli obsługiwać potrzeby duchowne kolonistów osiadłych na żyznych równinach dawnéj Numidii, a zarazem spełniać dzieło apostolstwa wśród Arabów. A tak po kilkunastu wiekach przerwy, Kościół afrykański zaczął odżywać na nowo; ten Kościół, który wydał niegdyś św. Cypryana i Augustyna, który liczył w swém łonie przeszło 70 biskupstw, zniszczony następnie przez fanatyczny oręż Wandalów i Maurów, ujrzał znowu krzyż Chrystusów stawiający pysznie swe czoło półksiężycowi. Drugi biskup Algieru zmarły przed kilku laty ks. Pavy widząc mnożącą się liczbę wiernych w swéj obszernéj dyecezyi, uznał, że jedno biskupstwo nie wystarczy na potrzeby duchowne Algieryi. Zaczął więc robić starania u rządu cesarskiego o podniesienie swéj dyecezyi do godności archidyecezyi i o utworzenie dwóch nowych biskupstw. Starania te przyjęte zostały przychylnie, i ce-

sarz Napoleon III., w czasie pobytu swego w Algierze w maju 1865 roku oświadczył władzom tamtejszym nowe urządzenie hierarchii kościelnéj. Ks. Pavy umarł wkrótce potém, nie doczekawszy się palliusza, który byłby słusznie ozdobił ramiona tego prałata znakomitego nauką, świątobliwością i poświęceniem. Na łożu śmiertelném czcigodny prałat dowiedziawszy się o ostatecznéj decyzyi Stolicy Apostolskiéj co do podniesienia swéj dyecezyi do godności arcybiskupstwa i utworzenia dwóch nowych biskupstw Oranu i Konstantyny, powtórzył z uśmiechem słowa Ovidiusza: *Sic vos non vobis mellificatis apes*, i oddał czystą duszę Bogu, unosząc żal powszechny swoich owieczek i całego duchowieństwa francuzkiego, które wysoko ceniło jego przymioty. Następca księdza Pavy, ks. Lavigerie przybywszy do Algieru, wziął się z energią do prowadzenia daléj dzieła swego poprzednika. Wkrótce nadarzyła mu się sposobność okazania swéj działalności. Jedna z klęsk dotykających kolonią od czasu do czasu nawiedziła ją w roku zeszłym. Algierya zostaje dotąd pod zarządem wojskowym, a to dla łatwiejszego utrzymania w karbach niesfornych Arabów, którzy wcale niechętnie znoszą jarzmo Francuzów. Miłość ojczyzny i wolność jest udziałem wszystkich ludów, czują więc ją i Arabi. Z tém wszystkiém ów zarząd wojskowy jest często niezgodny z prawdziwém dobrem kolonistów. Ztąd to Europejczycy zamieszkujący Algieryą powiadają, że dwie są główne klęski nawiedzające ich nową ojczyznę: szarańcza i odwiedziny cesarza; ta ostatnia nie dla tego, żeby Napoleon miał złe chęci względem Algieryi, któréj bogactwa i ważność pojmuje dobrze uczony monarcha, ale dla tego, że w czasie jego tam bytności przedstawiają mu się urzędnicy z ramienia wojskowego rządzący krajem i wystawiają mu wszystko w jak najpochlebniejszym stanie. Cesarz wraca do Europy i dziwi się potém narzekaniom, jakie do uszu jego w Paryżu dochodzą. Otóż zdarzyło się, że obiedwie tę klęski spadły w krótkim czasie na Algieryą. W r. 1865 cesarz udał się do Algieru, — a w 1866 i 67 szarańcza nawiedziła Kolonią w straszliwy sposób. Wiadomo, coza spustoszenie sprowadza szarańcza na kraje, które przeleci. Cały owoc pracy rólnika niknie w ciągu dni kilku, a spustoszone pola i ogrody przedstawiają smutny widok pustyni. Ta to klęska, a może i inne przyczyny nieurodzaju spowodowały w początku roku zeszłego brak artykułów żywności, a następnie głód najokropniejszy. Wszystkie dzienniki napełnione były opisami okropnego stanu Algieryi, sprowadzonego klęską głodową. Ulice miast, drogi publiczne zasłane były trupami, po ciągu kilku miesięcy przeszło 100,000 Arabów padło pastwą głodu i tyfusu, który się ztąd wywiązał. Nie mając co jeść biedni Arabi, uciekali się do antropofagii, nietylko wykopywali trupy ludzkie od kilku dni w grobie będące, i pożerali je, ale popełniali morderstwa, aby przygotować żywność z zabitych przez siebie braci. Klęska ta dotknęła wyłącznie Arabów, koloniści europejscy pracowitsi, przezorniejsi, zaopatrzeni w żywność dostateczną z lat przeszłych, przebyli klęskę nieurodzaju i szarańczy nie ucierpiawszy od niéj wiele. Francya obudziła się tknięta politowaniem nad losem kolonii, Ciało prawodawcze zawotowało znaczne sumy na wsparcie biednych algierczyków, Izby handlowe, konsystorze biskupie, pootwierały na rzecz ich składkę, która w krótce doszła do znacznéj wysokości. Wprawdzie wszystko to nie było dostateczne do zupełnego zatarcia śladów klęski, ale przyniosło znaczną ulgę nieszczęśliwym. Najświetniéj jednak okazała się w téj okoliczności gorliwość chrześciańska biskupa Algieru ks. Lavigerie. Arabowie nie mając czém wyżywić swych rodzin, wypędzali nieraz od siebie swe dzieci, i zostawiali je zupełnie na łasce opatrzności. Mnóztwo tych sierotek błąkało się po drogach i miastach, czekając śmierci głodowéj, albo litościwéj ręki, któraby je przy życiu utrzymała. Do tych dzieci porzuconych przyłączyła się znaczna liczba rzeczywistych sierot, którym śmierć zabrała rodziców. Tė to biedne dzieci arcybiskup wziął w szczególną swoją opiekę. Pozakładał w Algierze i w innych miejscowościach swojéj dyecezyi ochronki, gdzie sieroty znalazły przytułek i ucieczkę przed niechybną śmiercią. Siostry miłosierdzia i inne miłosierne osoby zajęły się staraniem około dzieci, opatrując ich w żywność, ubranie, mieszkanie. Obraz tych dzieci w chwili, kiedy przybywały do ochronek, podany przez dzienniki, był rzeczywiście rozdzierający. Niektóre z nich przedstawiały się zupełnie nago, z ciałem wyschniętem od głodu, tak że im dosłownie nic nie zostawało oprócz skóry i kości. Cała działalność gubernatora Algieryi marszałka Mac-Mahon i jego urzędników nie wystarczała na zapobieżenie tylu okropnościom, marszałek więc patrzał chętnie na dzieło ks. Lavigerie, a nawet nie odmawiał mu w pewnych razach swojéj pomocy. Tak wszystko szło dobrze czas jakiś, Arabi błogosławili dobroczynność chrześciańską, która im się przedstawiala pod formą inną, niż bagnety zuawów francuzkich i ich gwintowane działa. Ale skoro głód zmniejszać się zaczął, skoro wszystko, co nie miało co jeść wymarło, a dobroczynność chrześciańska uratowała, co było w jéj mocy, natenczas powstała pewna niezgoda pomiędzy gubernatorem a ks. arcybiskupem. Ten ostatni utrzymywał, że dzieci powinny zostać w ochronkach, dopóki właśni ich rodzice nie przyjdą upomnieć się o nie. Pan marszałek zaś chciał je zaraz odesłać właściwym pokoleniom, opierając się na tém, że skoro instytucya pokoleń arabskich istnieje nawet pod panowaniem francuzkiém, przeto dzieci powinny być im oddane w braku rodziców. Marszałek bał się oburzać Arabów, którzyby mogli powstać na gwałtowne zatrzymanie ich dzieci, a a przytém obawiał się widać, aby duchowieństwo francuzkie opiekując się dziećmi, nie wywierało na nich nacisku i nie odprowadzało ich od wiary ojców, coby znowu ubodło ich fanatyzm religijny. Prawda, że wolność wyznania religii została najuroczyściéj zapewniona Arabom i dotąd świecie przez Francuzów dotrzymywana była. Ale z drugiéj strony miłość chrześciańska rozciągająca się do wszystkich nieszczęśliwych bez różnicy wyznań i apostoltwo, jeden z owoców téj miłości, nie zostały nigdy wzbronione. Nie w innym zapewne celu sam rząd francuzki pozakładał biskupstwa na ziemi algierskiéj, jak w tym, żeby obok siły materyalnéj walczyła moralna siła miłości. Dzienniki we Francyi zaczęły się rozwodzić nad tą niezgodą dwóch dygnitarzy, między którymi najzupełniejsza zgoda jest właśnie tak potrzebna do przprowadzenia dzieła cywilizacyi na ziemi afrykańskiéj. Jak zwykle podawano wiadomości przesadne, mówiono nawet, że książe Magenty uniósł się do tego stopnia, iż groził arcybiskupowi natychmiastowém wywiezieniem z Algieru. Naturalnie, że rzeczy tak daleko nie zaszły jak zobaczymy zaraz, zawsze jednak zajście musiało mieć miejsce, skoro ks. Lavigerie uznał za stósowne udać się do Paryża, aby osobiście przedstawić sprawę cesarzowi, a żądać jéj rozwiązania. Skoro tylko

czcigoduy prałat stanął w Marsylii, napisał zaraz list do *Gazety Południowéj*, używającéj najwięcéj powagi w południowéj Francyi, list, w którym zaprzeczał formalnie wszystkim przesadnym pogłoskom o jego zajściu z marszałkiem. Co do mniemanéj groźby wywiezienia przypisywanéj marszałkowi, oświadczył ks. arcybiskup, że ta nietylko miejsca nie miała, ale nawet w żaden sposób nastąpić nie mogła przy znanym szlachetnym charakterze gubernatora. Oświadcza wreszcie prałat, że cała niezgoda ogranicza się tylko co do drobnych szczegółów, które z łatwością pogodzić się dadzą. Wierzymy chętnie temu oświadczeniu arcybiskupa, polegając najprzód na jego charakterze, który jest rękojmią prawdy słów wyrzeczonych, a potém na charakterze jenerała Mac-Mahon, który uchodzi za jednego z najzdolniejszych, najświatlejszych, a zarazem najzacniejszych jenerałów obecnéj armii francuzkiéj. Żona jego jest wzorem pobożności i słyszałem mówiących kapłanów przybywających z Algieryi, którzy ją nazywali opatrznością biednych w Algierze. Ks. Lavigerie przytém jest bardzo dobrze widziany u dworu cesarskiego, przy takim więc dobiorze osób można się było spodziewać, że sprawa ta da się prędko załatwić z zadowoleniem obu stron i że nie przyniesie żadnego uszczerbku dziełu miłości prowadzonego przez czcigodnego pasterza. Jakoż ks. arcybiskup udawszy się do Paryża, otrzymał zadowalniające rozwiązanie i powrócił wkrótce do Algieryi, aby prowadzić daléj rozpoczęte dzieło. Ochronki utrzymują się i są obecnie w kwitnącym stanie; cały zarząd wojskowy oddaje téj instytucyi wielkie pochwały, a sam gubernator zwiedzając je niedawno podziwiał wszystkie urządzenia i rozwodził sią z pochwałami dla arcypasterza. Ks. Lavigerie, aby usunąć wszystkie obawy, z umysłu gubernatora oświadczył stanowczo, że nie myśli wywierać żadnego nacisku na religijne wyobrażenia dzieci arabskich, że spełnia tylko czyste dzieło miłości bez żadnych nadal widoków i wyrachowań. Wprawdzie i z drugiéj strony, jeżeli któren z młodych Arabów lub Arabek oświadczy chęć przyjęcia religii katolickiéj, to niepodobna, aby duchowieństwo mogło w tym względzie stawiać najmniejsze przeszkody, żadna władza nie może tego zabronić, a Francya jak się zdaje mi, nic na tém nie straci. Co więcéj, Francya nie będzie miała spokoju w Algieryi, dopóki krzyż nie zastąpi półksiężyca, wszystkie inne środki pojednania są niepodobne, a utrzymywać ciągle zarząd wojenny, jak to dotąd ma miejsce, nie można, gdyż jak jeden dyplomata powiedział: dobrze jest bagnetem wojować, ale nie dobrze na nim spoczywać. Nawracać Arabów dorosłych, byłoby to podejmować pracę, która się nigdy nie opłaci. Przełożony seminaryum dyecezyalnego opowiadał, że w ciągu dwudziestoletniego pobytu w Algierze udało mu się zaledwie trzech Arabów nawrócić, a i z tych trzech dwóch powróciło do islamizmu. Jeżeli więc dzieło nawrócenia nie rozpocznie się od dzieci, nigdy ono do skutku doprowadzoném nie będzie, i nigdy Francya w Arabach braci dla siebie nie znajdzie. Pod wszystkiemi przeto względami ochronki założone przez ks. Lavigerie oddają niezmierną usługę sprawie Francyi i całéj ludzkości. Po młodym jeszcze wieku, po silnéj woli i niezmiernéj energii obecnego arcybiskupa spodziewać się można wielkich usług dla Kościoła w Afryce. Prowadzi on godnie daléj dzieło swego poprzednika: klasztor Trapistów w Staoneli pod Algierem rozwija się znakomicie; zakłady Sióstr Miłosierdzia mnożą się ciągle mając za zadanie świadczyć swe dobrodziejstwa wszystkim mieszkańcom bez różnicy wyznania. W czasie ostatniéj bytności swéj we Francyi ks. arcybiskup ułożył się o przysłanie mu zakonnic z Kolonii zwanych „Małe Siostry Ubogich“ krórych zadaniem jest pielęgnować starców, kaleki i innych chorych. W tych dniach właśnie poświęcono w Algierze wspaniałą katedrę. Choć więc praca jest trudna, nadzieja pomyślnego skutku bardzo odległa, praca jednak, wytrwała, i poświęcenie potrafią kiedyś przezwyciężyć stawiane przeszkody i zapewnić tryumf dzieła prawdziwéj chrześciańskiéj cywilacyi.

Jeden z gorliwych katolików Francyi hr. de Brunet de Puisaye zajął się przygotowaniem pamiątki, jaką katolicy francuzcy mają złożyć Papieżowi z przyczyny nadchodzącego soboru powszechnego. Pamiątkę tę będzie stanowiło album przedstawiające najznakomitsze budowle religijne wszystkich dyecezyi frncuzkich, nie wyłączając ruin. Dzieło to wydane będzie pod opieką i zatwierdzeniem wszystkich biskupów francuzkich, którzy na czele album mają własnoręczne podpisy położyć. Na czele biskupów znajduje się arcybiskup lugduński, prymas Galii ks. kardynał Bonnald, pod którego główną opieką dzieło prowadzone będzie.

W tych dniach śmierć zabrała trzy znakomitości paryzkie. Umarł najprzód Havin, naczelny redaktor dziennika Siècle, następnie Rossini, znakomity autor muzyczny, a nakoniec Rotszyld, król bankierów europejskich. Ponieważ ostatni z tych był żydem, Rossini zawsze człowiekiem religijnym, zwracamy więc uwagę tyiko na śmierć Hawina. Redaktor dziennika lejącego truciznę nienawiści ku kościołowi w umysły miliona swych czytelników, umarł przecie pojednawszy się zupełnie z Bogiem. Pisałem już kiedyś, że tenże Havin radził jednemu ze swych przyjaciół umierających, aby zawezwał księdza. Co innym radził, to Havin sam uczynił, widząc słabnące swe siły, upominał rodzinę, aby mu wezwała księdza i to na czas, aby pomoc religijna nie przyszła mu za późno. Rodzina złożona z osób pełnych religii i pobożności, nie zaniedbała wykonać tych zaleceń swego naczelnika, i Havin umarł, jak na dobrego katolika umierać przystoi, zostawiając dobry przykład potomnym, pociechę rodzinie. Ta śmierć przekonywa nas po części, że Siècle dla Havina był raczéj przedmiotem korzystnéj spekulacyi, aniżeli sprawą jego przekonań, niemniéj był przeto winnym za życia, i o ile więcéj złego narobił, o tyle większą pociechę sprawia Kościołowi przykładna śmierć jego.

Dary na zuawów papiezkich i w ogóle na potrzeby armii papiezkiéj nie przestają wpływać na ręce biskupów Francyi. Czytamy znowu o nowych darach złożonych w dyecezyi St. Flour i Bordeaux. Ale najświetniéj pod tym względem występuje dyecezya Cambrai. Arcybiskup tamtejszy ks. Regnier otrzymał w tych dniach od jednego ze swoich dyecezyan 38,000 franków, przeznaczonych dla Papieża. Inne pomniejsze składki 500 frankowe doszły także rąk jego, co podnosi liczbę zuawów utrzymywanych przez dyecezyą Cambrai w r. 1868 do 273. Dyecezya ta wnosi także do dzieła rozkrzewienia wiary jednę z najobfitszych składek, co wszystko przynosi zaszczyt dyecezyanom, jako też ich czcigodnemu arcybiskupowi i innym dwom pasterzom, którzy umieją natchnąć w serca podwładnych sobie owieczek tyle miłości i poświęcenia dla ojca wiernych.

Nie mogę tu pominąć wiadomości dochodzącéj nas z Belgii; pokazuje ona, jakich środków chwytają się nie-

przyjaciele Kościoła, i o ile są uzasadnione zarzuty robione duchowieństwu. W Brukseli ma istnieć stowarzyszenie ludzi wolno-żyjących, (libres viveurs) które obiecuje 2000 franków nagrody każdemu, kto wynajdzie przeciw kapłanowi lub zakonnikowi oskarżenie mogące go pociągnąć przed sądy cywilne. Nie potrzeba, aby oskarżenie było prawdziwe, chodzi tylko, aby się mogło utrzymać przez czas jakiś w obec sędziów i prokuratorów mianowanych przez p. Bara, którzy naśladując swego ministra, nie będą sobie zadawali wiele pracy, aby usprawiedliwić niewinnych, skoro ci przedstawią się im w sukience kapłańskiéj lub zakonnéj. Cel tego postępowania jest widoczny.

Kazanie powiedziane z powodu rozpoczęcia konferencyi dekanalnéj d. 19 października 1868 r. w kościele św. Idziego w Krakowie.

(Dokończenie.)

b) Obok wielkiéj korzyści scyentyficznéj, widzę drugą nie mniéj ważną: *ascetyczną.* Wprawdzie ta korzyść raczéj owocem rekollecyi aniżeli konferencyi, wprawdzie rzecz to raczéj osobistéj, prawie ukrytéj i zamkniętéj w Panu pracy; ale przyznacie, Dr. Br., że jest pewna ascezya kapłańska, w któréj naradzanie się względem środków podniesienia się na duchu, jak również względem sposobów działania na podniesienie pobożności wiernych wymaga koniecznie wspólnych przekonań, należytą powagą z góry umocnionych. Bez tego, jak w zakresie teologii spekulatywnéj, wyradzają się smutne pretensye takich nawet znakomitości, jak n. p. monachijski Dellinger; tak w zakresie kwestyi ascetycznych, przy najwyższém nawet wykształceniu mistyczném wyradzają się takie aberacye, jakich przedstawicielem był nawet swoim czasie sławny Ruysbroek. Nie brak też niestety i w czasach dzisiejszych pewnych występowań w imię reformy duchowieństwa w sposób wielce naganny i godny ubolewania, a wychodzą z niesfornych opinii i sądów niedojrzałych, wylęgłych w głowie tego lub owego kapłana, chcącego, jak powiedzieliśmy wyżéj, reformować Kościół przeciwko Kościołowi. Tak jest! konferencyami dekanalnemi dojdzie się prędzéj i pewniéj do spełnienia rzeczywistéj a przez Kościół od wieków należycie oznaczonéj ascezyi tak duchowieństwa samego jak wiernych. Apostoł w imieniu tegoż Kościoła przestrzega: *Videte fratres! quomodo caute ambuletis, ut sapientes, redimentes tempus, quoniam dies mali sunt* (Eph. V. 16.) *probantes quod sit beneplacitum Deo* (V. 10.). Korzyść zresztą ascetyczna wypływa w ścisłym związku z teologicznéj, albowiem silna tylko dogmatyka grunt daje należyty ascezyi a teologia moralna plan jéj odpowiedni zakreśla.

c) Trzecia korzyść idzie *kanoniczna.* W działaniu naszém kapłańskiem mają się wcielać prawa Kościoła, a tu znowu przy pobożnych nawet a gorliwych usiłowaniach, działając na własną rękę, można mimo sporéj nawet nauki, łatwo pobłądzić. Wiadomo Wam zresztą, Cz. Bracia! jak zastósowanie prawodawstwa kościelnego wymaga wielkiéj roztropności, przezorności, doświadczenia, wiadomo Wam, jak się trudność piętrzy w miarę delikatnych odcieni spraw wywołujących potrzebę zastósowania tych lub owych kanonów. Stąpać w téj mierze dość pewnym krokiem, by ani wiernych sobie nie narazić, ani Kościoła nie kompromitować, wtedy tylko można, kiedy się rzecz wszechstronnie rozpozna przez wzajemną wymianę zdań pod przewodnictwem magistralnéj interpretacyi Kościoła. Tu nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na działanie duchowieństwa francuzkiego, które po smutnych chwilach epoki gallikanizmu teraz się dopiero jasno zoryentowało i weszło na tor prawdziwie kościelny, kiedy się znalazło w możności zdrowego spojrzenia na stan rzeczy i porównanie z tém, co stanowi jedno ze znamion duchowieństwa katolickiego, t. j. jedność pod względem ustaw i przepisów kościelnych ze Stolicą Apostolską. Otóż chwila ta datuje się właśnie od otwarcia konferencyi duchowieństwa z Biskupami, a Biskupów ze Stolicą św. Tu zdaje mi się, zaliczyćby wypadło kwestyą rubryk, ceremonii i śpiewu; gdyż jakkolwiek niemieliśmy nieszczęścia popaść w niejedność z obyczajem czysto rzymskim, w skutek jakiejś nieszczęśliwie ukutéj zasady, jak się rzecz miała właśnie w kościele gallikańskim; to przyznać musimy, że nadto rozszerzalibyśmy zasadę miejscowego zwyczaju, i że ten zwyczaj często staje w rażącéj sprzeczności z wyraźnemi przepisami i powszechnym Kościoła obyczajem.

Dodajmy jeszcze do wyliczonych korzyści dwie inne, nie mniéj ważne: 1 *pastoralna.* Najdłuższe nawet prawdziwie gorliwych dusz pasterzy doświadczenie, ma pewne granice, poza któremi spotyka się z niepewnością w działaniu tam, gdzie pewność i stanowczość jest arcypotrzebną. Z drugiéj strony żywa społeczność i mnogie stósunki wiernych różnych parafii wymagają koniecznie zgodzenia się na tożsamość środków duchownego na nich działania. Nic bowiem szkodliwszego i bardziéj rujnującego gorliwe chęci pasterzy, jak przekonanie owieczek, że się z niemi postępuje dowolnie i w skutek zbyt osobistego zapatrywania się a nawet uprzedzeń. Konieczną także pod tym względem byłoby rzeczą zgodne uderzenie przeciw grasującym nadużyciom, niebezpieczeństwom i grzechom. Aby lud wyrwać z nieszczęśliwego nałogu pijaństwa, aby ich zasłonić od ruiny moralnéj i materyalnéj idącéj w te tropy za próżniactwem, aby ich wydrzeć z rąk i kieszeni lichwiarzy, aby ich zapalić miłością szkoły i pracy, tak ręcznéj jak umysłowéj, aby ustalić ich stósunki w nowym stanie rzeczy z bracią wyżéj stojącą i bogatszą; na to niewystarczy ani najobszerniejsza znajomość teoryi ani nawet osobista znajomość serca tych, na których działać wypada; na to potrzeba, aby kapłan i we własnem sumieniu i w przekonaniu wiernych był tylko ręką kierującego ducha Kościoła.

Ostatnią korzyść nazwałbym naszą wewnętrzną społeczną. Organizacya wprawdzie duchowieństwa oznaczona jest ściśle kanonami kościelnemi, z drugiéj strony żywotną jéj sprężyną ma być wzajemna ewangieliczna miłość oraz wspólne wszystkich posłuszeństwo w miłości i sumieniu dla Biskupa. Lecz właśnie tak kanony stanowisko jednych do drugich określające, jak miłość i posłuszeństwo nakazane przez Ewangelią, kombinują się i składają, że tak powiem w harmonią a zarazem w zastósowaniu ułatwiają się przez takie błogosławione zbliżenie jednych do drugich, jakiemu konferencya dekanalne otwiera bogate pole. Tutaj to dzielnie ożywia się miłość braterska kapłanów, a miłość owa nieograniczając się na samym sentymencie albo zbyt ludzkiéj i wyłącznéj przyjaźni, rozwija się w piękny kwiat przyjaźni kościelnéj, jedynie spełnić umiejącéj, co Duch św. nam zwłaszcza kapłanom nakazuje przez one Apostoła słowa: *Suportantes invicem in charitate, solliciti servare unitatem spiritus in vinculo pacis* (Eph. IV. 3). Tutaj dary udzielone każdemu podług jego stanowiska dla dobra Kościoła;

Unicuique nostrum data est gratia secundum mensuram donationis Christi, znaléść mogą swoje żywotne zespolenie ku potężnemu działaniu *ad consumationem* Sanctorum in opus ministerii, in aedificationem corporis Christi (IV. 7. 16. 18). Zbieranie się takie duchowieństwa pod przewodnictwem Reprezentanta Biskupiego ścieśnia związkę serc kapłanów, a daje ich jako powolne i dzielne narzędzie w rękę Biskupa; a w skutek tego kapłan staje nietylko poza niebezpieczeństwem zbyt niestety dzisiaj powszechném i głośnem przemienienia się w narzędzie opinii ducha czasu, polityki, hołdowania niewolniczego maksymom świata lub wzajemnie targających się stronnictw, a jest ustawicznie tylko narzędziem Chrystusa w świętéj Jego sprawie, narzędziem, mówię, zdolném, dobrém, mocném, poświęconém braterską miłością i kierowaném ręką Pasterza ku zamiarowi Pańskiemu.

Oto są potrzeby i korzyści z konferencyi dekanalnych. Być może, iż Wy Dr. Bracia! znacie jeszcze inne, to tymci lepiéj, bo z tym większym zapałem przystąpicie do czynności tak ważnéj.

Na tém skończył najczcigodniejszy kaznodzieja. Szkoda, że niemamy jeszcze swoich stenografów, aby podobne skarby wiedzy i uczuć zbierali skoropisem; ale spodziewać się należy, że nie tak długo jakby się zdawało, czekać będziemy na wprowadzenie u nas w praktykę tak dobrego środka szerzenia słowa Bożego i przekazywania drugim nauki mądrości Boskiéj. —

Monti i Tognetti.

Rok temu przeszło rewolucyoniści wysadzili w Rzymie prochem w powietrze koszary Serristori, przyczém dwudziestu siedmiu zuawów życie utraciło. Ujęto sprawców, proces toczył się spokojnie i bardzo długo, i oto teraz dwóch z przekonanych o tę zbrodnią śmiercią ukarano. Rząd papiezki zwykle łagodny i przebaczający, w tym razie dla względów najważniejszych pozwolił na wykonanie wyroku. Cóż na to prasa europejska, tak zwana liberalna? Ta prasa, która się nie dziwiła, głośno przynajmniéj, karze wymierzonéj na Orsinim, która przyklasnęła exekucyi tych, co się byli sprzysięgli na śmierć prezydenta Lincolna, obojętnie przyjęła exekucyą Femianów, a wykonanie licznych dekretów śmierci w Serbii znalazła rzeczą naturalną, jęła na dane hasło krzyczeć, że w Rzymie stracono niesprawiedliwie dwóch „politycznych przestępców,“ i że Stolica Apostolska występuje znowu wyzywająco. Nasz *Dziennik Poznański,* jak zwykle, to samo za drugiemi bez uwag i zastrzeżenia powtarza.*) Znany korespondent rzymski do *Czasu* nad sprawą tą rozpisuje się w kilku po sobie następujących listach, tak, żeby wzbudzić litość ku „jasnowłosym“ zbrodniarzom, a całą odpowiedzialność za krok i niewczesny i niepolityczny zrzucić na kardynała Antonellego, którego obecnie, tak jak dawniéj ministra broni Mérode, ściga swą niechęcią i zemstą. Machinacye i zła wiara liberałów są tu jak najwyraźniejsze. Zawsze szukają, jak wyzyskać każdy wypadek na usprawiedliwienie dla gwałtów jednoczycieli włoskich. Oto co w téj mierze dziennik *Le Monde* pisze w numerze 324 z dnia 26 listopada:

„Dnia 22 października r. 1877 wprowadzono prochy do koszar Serristori i zapalono je. Nastąpiła straszna explozya, gmach wyleciał w powietrze i pod gruzami swemi pogrzebał nieszczęśliwych żołnierzy, którzy się w nim właśnie znajdowali. Zdawałoby się, że ta szkaradna zbrodnia powinnaby wywołać ogólne oburzenie, że wszelka sprawa powinna odepchnąć solidarność podobnych środków, opuścić zbrodniarzy i oddać ich całéj surowości praw. Atoli myliłby się każdy, coby tak przypuszczał. Ludzie ci znajdują we Francyi obecnie publicznych obrońców. Dzienniki, jak pomiędzy innémi *Siècle,* nie wstydzą się brać ich w swą obronę, czynią się ich adwokatami, domagają się dla nich przywileju bezkarności, zazwyczaj politycznym zamachom udzielanego. „Zbrodniarze ci są prawowitemi obrońcami sprawy zwyciężonéj, powinniby więc być uwzględnieni.“ *Siècle* nie ma ani słówka nagany dla ich zbrodni, i w téj strasznéj katastrofie, którą sprowadzili, ich to właśnie nazywa on ofiarami.

„Trzeba podnieść tę teoryą, aby pokazać, do jakiéj przewrotności w pojęciach moralności doszli przeciwnicy Kościoła, i że nie należy się dziwić, iż sumnienie publiczne zaciera się pod wpływem teoryi przewrotnych, które ustawicznie mu głoszą. Monti i Tognetti zostali sądownie przekonani o udział w wysadzeniu koszar Serristori. Zostali wskazani na śmierć; nastąpiła exekucya. To sprawiedliwość. Ojciec św. dozwolił wykonać wyrok, i byłoby niepolitycznym krokiem ze strony monarchy, gdyby był bieg sprawiedliwości powstrzymał. Miłosierdzie, któreby było uratowało życie tym dwom ludziom, byłoby aktem okrucieństwa naprzeciw ludziom uczciwym. Ułaskawienie ick byłoby dla całego świata dowodem, że w państwie papiezkim sprawiedliwość jest zgoła bezsilną, i że najstraszliwsze zamachy na publiczne bezpieczeństwo i na życie obywateli mogą liczyć na bezkarność.

Zbrodniarze byliby zadowolnieni z kary kilku lat więzienia, któreby spędzili w nadziei bliskiéj rewolucyi. Tak, Papież jest wspólnym ojcem wiernych, lecz dla tego to właśnie winien jest dać opiekę skuteczną tym, co chcą żyć pod jégo prawami.

„Dla *Siècla* ideałem ojcowskiego rządu byłby ten, który okrutny dla ludzi uczciwych, a pobłażliwy dla złodziei i zbójców, oddawałby pierwszych na łup drugim. Religia powinnaby zawsze wytrącać miecz z ręku sprawiedliwości, a jedni książęta bezbożni mieliby prawo karania.“

„Jeżeli rząd papiezki zasługuje na jaką przyganę, to na przyganę wprost przeciwną téj, którą *Siècle* mu daje; Rząd papiezki zbyt łatwo przebacza. Wiadomo, że w Rzymie wyroki na śmierć przedkładają Ojcu św., Papież nie podpisuje ich, lecz skoro położy rękę na akta, kara zostaje zmienioną. Ręka papiezka ratuje życie tym, nad którymi się podnosi. Owóż niema rządu na świecie, któryby częściéj robił użytek z tego prawa łaski; niema kraju gdzieby mniéj było wykonanych wyroków. Lecz jeżli *Siècle* pragnie, aby liczba exekucyi

---

*) W kilku numerach *Dziennik* z wyraźném współczuciem mówił o tych dwóch „politycznych przestępcach;“ zaś w num. 282 śmierć Montego i Tognettego nazywa „legalną w każdym razie śmiercią.“ W tym samym numerze korespondent paryzki nie grzeszący przychylnością do Stolicy Apostolskiéj pisze: „Monti i Tognetti nie byli to wcale bohatérowie żadnéj idei; prości najemnicy, podjęli się oni wysadzenia gmachu Serristori, w którym zginęło 29 oficerów, *za pieniądze.*“ Cóż stąd, kiedy korespondent z Neapolu na drugiéj stronie *Dziennika* mówi o „posądzonych (!) o zamiar (!!) spalenia koszar zuawów.“ — Jakież istotne zdanie *Dziennika?*

śmierci zmniejszyła się, niechaj przestanie dodawać odwagi występnym przez swą pobłażliwość zbyteczną. Ułaskawiając zbyt łatwo zbrodniarzy, popycha ich się tylko do nowych zbrodni i przyjmuje część odpowiedzialności na siebie.“

Le Monde wraca do tej saméj sprawy w numerze następnym z d. 27 listopada, i tak się odzywa:

„Włochy bohatyrów swych szukają pomiędzy zbrodniarzami dla tego, że nie mają lepszych. Wykonanie wyroku na Montim i Tognettim wywołało w Izbie włoskiéj nadzwyczajne wzburzenie. Możnaby sądzić, że wszyscy członkowie czują się w niebezpieczeństwie podobnego końca. Dzienniki zachęcają do otworzenia subskrypcyi na korzyść rodzin wskazańców. Minister Menabrea nie wstydził się przyjąć do uczuć sympatyi wyrażonych dla Montego i Tognettego, i obrzucać błotem rząd papiezki. Izba prawie jednogłośnie uchwaliła przejście do porządku dziennego, co świadczy o jéj szacunku dla tych dwóch przestępców.

„Jestże to sen? Czyż niema już sumnienia publicznego? czyż sprawiedliwość czczym tylko jest słowem, i czyż zaciekłość rewolucyjna ma podobne, jak harpje w bajce, ten straszliwy przywiléj zarażania i brudzenia wszystkich dusz, których dosięga?“

„Jestże wolno lub nie, mordować politycznych przeciwników?“

„Jestże wolno lub nie, zakradać się do obcego miasta i używać do pomocy piekielnych machin?“

„Czyż bez wypowiedzenia wszelkiego wojny, wolno ludziom, co nie są nawet żołnierzami regularnego rządu, lecz narzędziami hordy barbarzyńców, wysadzać w powietrze koszary, gdzie się znajdują bezbronni żołnierze?“

„Sąż to polityczne przedsięwzięcia, które znają litość, miłosierdzie, uniewinienie, okoliczności łagodzące, czy też nie są to owszem zbrodnie przeciw powszechnemu prawu, zbrodnie świadczące o głębokiém zepsuciu ich sprawców, o ich niesłychanéj dzikości, i domagające się surowości praw?“

„Naprzeciw takim czynom, sumnienie publiczne jeden, głos tylko podnieść powinno, a sprawiedliwość ludzka jednę karę wymierzyć.

„Kto takich ludzi pochwala, staje się z nimi wespół winnym; kto takie zbrodnie uniewinnia, bierze na siebie część odpowiedzialności. Jeżeli te uczucia pobłażliwości znajdują się w Izbie włoskiéj, to tém gorzéj dla Izby. Jeżeli się pojawiają w dziennikach francuzkich, tém gorzéj dla tych dzienników. Nie będą one mogły zmienić opinii ludzi uczciwych.“

Pięćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa Ojca św.

Jest to zwyczajem utartym, a przytém chwalebnym, że się uroczyście obchodzi 50letni jubileusz piastowania jakiegokolwiek urzędu; a długie, czynne życie, jako szczególniejszy dar nieba, godzi się też uczcić ziemskiem uznaniem. To też zwyczaj ten wszędzie znajduje przystęp, a w dziennikach naszych raz po raz czytujemy sprawozdania o podobnych uroczystościach, które w nas miłe budzą uczucia i myśli. Tu nauczyciel zgrzybiały, po 50cioletniéj ciężkiéj, mozolnéj pracy, widzi się otoczonym zastępem młodzieży, którą wychował, a która mu w dniu tym szczere swe składa powinszowania i życzenia; tam kapłan siwizną pokryty po półwiekowéj pracy we winnicy Pańskiéj, otoczony liczném gronem szanujących go konfratrów, wśród tłumu miłujących go owieczek, składa dziękczynną Najwyższemu ofiarę za dobrodziejstwa od Niego odebrane, a wszyscy z jubilatem wspólnie się cieszą, radują się radością jego, dla wszystkich dzień ten, to dzień uroczysty, dzień pamiętny. O ile zaś rośnie radość powszechna, jeśli jubilat to mąż wysoko postawiony, a dla wszystkich przystępny; jeżeli wysoką piastuje godność z korzyścią i pożytkiem dla poddanych i podwładnych! o wtenczas radość podwójna wszystkich ogarnia, a każdy ochoczo w niéj bierze udział.

Taka uroczystość największa, najwspanialsza w swoim rodzaju przypada dla całego świata katolickiego w roku przyszłym. Rok 1869, rok wielki w dziejach, rok Soboru powszechnego, jest zarazem rokiem, w którym szczęśliwie nam panujący Ojciec św. Pius IX. obchodzić będzie 50 letni jubileusz kapłaństwa. Zaiste rzadki to, nader rzadki przykład w dziejach papieztwa, tém bardziéj zdumiewający, że droga, po któréj Pius IX chodzi, to droga ciernista, że ciężar, który dźwiga na barkach swoich, to ciężar zdolny najsilniejszych o ziemię powalić. Jak wszędzie i we wszystkim, tak i tu, nie na ziemskich, ale na wyższych Pius IX wsparty podporach, a tą podporą dla niego Bóg, który mu rzeczywiście cudownéj dodaje siły i mocy, w którym on jedynie czerpie pociechę i nadzieję.

Okoliczność ta jubileuszowa już od pewnego czasu zaprząta niemiecką katolicką prasę. Gorliwi kapłani zawczasu starają się publiczność katolicką na wielką tę chwilę przysposobić, aby dzień ten z odpowiednią obchodzić uroczystością. W tym celu różnorodne czynią wnioski i propozycye, mające ten dzień uświetnić.

Nie chcę i nie mogę żadnego stawiać i przepisywać programu, bo to do mnie nie należy. Zamiarem tylko jest moim zawczasu zwrócić uwagę Szanownego Duchowieństwa na chwilę tę uroczystą, by ona nas nieprzygotowanych nie zaskoczyła. Jeżeli kto, to my święty mamy obowiązek wywdzięczenia się Ojcu św., za te liczne dowody przywiązania i miłości, jakie nam okazywał przez cały ciąg swego chwalebnego pontyfikatu; a drobny ten objaw naszego prawdziwie synowskiego do Niego przywiązania, będzie dla niego nie małą osłodą i pociechą wśród przykrości, których ciągle doświadcza.

Ks. L.

Komisye przygotowawcze do przyszłego Soboru.

Korespondent nasz rzymski dawniejszy doniósł nam w swoim czasie o zawiązaniu pięciu komisyi, aby przygotować prace dla przyszłego Soboru. Obecnie pismo *Bien public* podaje nieco szczegółów o robotach tych komisyi, wymienia członków każdéj komisyi, wzmiankuje o utworzeniu komisyi nowéj, szóstéj. Artykułu, o którym mowa, udzielamy czytelnikom naszym:

„Wszystko, co się dotyczy przygotowań do powszechnego Soboru w roku przyszłym, żywo obchodzi katolików. Dla tego czytelnicy nasi z chęcią przyjmą następne szczegóły, wyjęte z rozmaitych korespondencyi rzymskich.

„Prace przygotowawcze dla przyszłego Soboru odbywają się podług tych samych reguł, których się trzymano niegdyś przy Soborze Trydenckim, z tą tylko różnicą, że materye mające być poddane pod narady So-

boru, są obecnie przedmiotem dłuższych jeszcze i głębszych roztrząsań. Biskupi nadesłali swe odpowiedzi na kwestye im przedłożone rok naprzód przed zwołaniem Soboru przez kardynała Caterini. Odpowiedzi te są rozbierane z największą skrupulatnością w związku z Pismem św., z nauką Ojców i tradycyą Kościoła. Rezultaty tych badań przedłożone będą Biskupom, którzy je mają na nowo roztrząsnąć i dołączyć sąd swój ostateczny. Mylnieby sądził, ktoby myślał, że badania naukowe należą wyłącznie do członków komisyi przygotowawczéj. Każdy Biskup ma zupełną wolność wytoczyć tę lub ową sprawę przed całém zgromadzeniem. Stolica Piotrowa była zawsze twierdzą wolności chrześciańskiéj, a wolność ta jest dziedzictwem wspólném każdego katolika, czy stanu duchownego, czy świeckiego.

„Ojciec św. objawił chęć prezydowania osobiście na powszechnym Soborze.

„Organizacya i przygotowania dla Soboru oddane są *centralnéj komisyi*, składającéj się z sześciu kardynałów, z których każdy jest prezesem specyalnéj komisyi, i każdy z nich ma do pomocy pewną liczbę konsultorów.

„Zadaniem téj komisyi jest uporządkowanie *postulatów* i odpowiedzi nadesłanych przez Biskupów całego świata, i przekazywanie ich odpowiednim komisyom; daléj, komisya ta odbiera wszelkie decyzye rzeczonych komisyi specyalnych i poddaje je pod ścisły rozbiór, a na ostatek przekazuje je wprost Ojcu św.

„Oto członkowie

Komisyi centralnéj: J. E. kardynał Bilio, kardynał Reisach, kard. Caterini, kard. Bizzarri, kard. Barnabo, kard. Panebianco, — Mons. Giannelli, arcyb. *in part.*, sekretarz.

Konsultorowie komisyi centralnéj: Mons. Tizzani, Arcybiskup; Mgr. Angelini, Mgr. Talbot de Malahide. O. Melchior Galeotti, profesor. O. Sanguinetti S. J.

I. *Konsultorowie komisyi teologii dogmatycznéj pod prezydencyą kard. Bilio;* — Mgr. Cardoni, arcyb., O. Spada, minister pałacu apostols., O. Ferrari, św. Officium. — O. Perrone S. J. Mgr. Schwitz (z Niemiec). — O. Bonfilio Mura, rektor Sapiencyi. — O. Franzelin S. J., prof. w koll. rzymskim. — O. Schrader S. J. (z Austryi). — Santori, prof. dogm. — Petacci, prof. filozof. — Ks. Hettinger z Wuerzburga. — Camil. Santori, sekretarz komisyi.

II. *Komisya polityczno-religijna pod prezydencyą kardynała Reisacha. — Konsultorowie:* Mgr. Marini, biskup Orvieto, prosekretarz kongregacyi spraw kościelnych. — Mgr. Papardo, biskup Synopy. — Mgr. Bartolini, sekretarz kongr. Obrzędów. — Mgr. Jacobini, sekretarz propagandy dla kościołów Wschodnich. — Mgr. Ferrari, podsekretarz kongreg. spraw kościelnych. — Mgr. Nassi, Mgr. Gizzi O. Guardi. — Kanonik Kavaes z Kołoczy. — Kanonik Molitor ze Spiry. — Księdza Chesnel zastąpi ks. Sauvé. — Trinchieri *minutante* sekreteriatu spraw kośc. — Mgr. Matera, sekretarz komisyi.

III. *Komisya dyscypliny kościelnéj pod prezydencyą kardynała Caterini. — Konsultorowie:* Mgr. Giannelli, arcyb. Sardyjski, sekretarz kongregacyi Soboru. — Mgr. Svegliati, sekretarz kongregacyi Biskupów i zakonników. — Mgr. Simconi, sekretarz Propagandy. — Mgr. Nina, asesor św. Officium. — Mgr. Jacobini, sekretarz Propagandy dla kośc. Wschodn. — Mgr. Angellini, kanonik u św. Piotra. — Mgr. Mobili. — O. Tarquini S. J. — Ksiądz Angelis, profes. prawa kanonicznego w Sapiencyi. — Ks. Jacobini. — Mgr. Lucidi, podsekretarz kongreg. Soboru. — Ks. Hergenroether z Wuerzburga. — Ks Feye, profes. uniwersyt. katol. w Lowanium. — Mgr. Jacobini, sekretarz komisyi.

IV. *Komisya zakonów, pod prezydencyą kard. Bizzarri. — Konsultorowie:* Mgr. Marini, arcyb. Orviet. — Mgr. Svegliati. sekr. kongr. Biskupów i zakonników. — Mgr. Lucidi. — Mgr. Trombetta, podsekretarz kongr. Biskupów i zakon. — O. Capelli Barnabita. — O. Bianchi, Dominikan. — O. Da Cipreso-Minoryta. — O. Mikołaj Cretoni, Augustynianin. — Ks. Stopani, sekretarz komisyi.

V. *Komisya dla spraw wschodnich, pod prezydencyą kardynała Barnabo. — Konsultorowie:* Mgr. Simconi, sekret. Propagandy. — Mgr. Jacobini, sekret. Propag. dla spraw Wschodn. — O. Ballig. — O. Vercellone. — O. Theiner. — O. Valerga. — Ks. Dawid Tito. — Kanonik Roncetti. — Ks. J. Piazza. — Ks. Fr. Rossi. — Mgr. Cretoni, archiwista Propagandy i sekretarz komisyi.

VI. *Komisya Obrzędów i ceremonii, pod prezydencyą kardynała Patrizi. — Konsultorowie:* Wszyscy mistrze ceremonii w kaplicy papiezkiéj.

„Ostatnia komisya nie jest jeszcze zupełnie uorganizowana.

„Do każdéj komisyi należą konsultorowie z różnych krajów. Najważniejszą jest komisya *teologii dogmatycznéj.* Lecz największe zajęcie wzbudza komisya pod prezydencyą kardynała Reisacha, zajmująca się roztrząsaniem stosunku Kościoła katolickiego do rządów i do społeczeństwa świeckiego."

Cudowne uzdrowienie.

O. Hermann, Zakonu Karmelitów Bosych, cudownym sposobem z żyda nawrócony, w młodości swéj słynny Koncercista, a obecnie świątobliwy zakonnik jednéj z najostrzejszych reguł, który tego roku na wiosnę w czasie wielkanocnym kilka dni także w naszym Poznaniu zabawił, udał się był stąd wprost na pustynią w górach Pyrenejskich, aby tam w zupełném oddaleniu od świata odetchnąć po pracach apostolskich, jakim z wielkiém wytężeniem sił się oddawał, otrząsnąć się z wrażeń światowych i zaczerpnąć sił do nowych prac, jakie go czekały. W zupełném ubóstwie, w jakiém żył, i jakie zewsząd go otaczało, nie wiedząc, jakieby sobie jeszcze zadać umartwienie i coby zbytniego sobie jeszcze odmówić, powziął zamiar stanowczy zarzucenia tabaki, którą mocno zażywał i do któréj od dawna był przyzwyczajony. Ofiarą tą drobną niby i nieznaczną na oko, któréj wielkość jednakże ci tylko zdolni są ocenić, którym, jak jemu, zażywanie tabaki prawie konieczną stało się potrzebą, widać, że i Pan Bóg przyjął łaskawie, i żeby doświadczyć jego cnoty, dopuścił w miłosierdziu swójém, że skutkiem tego umartwienia O. Hermann niebezpiecznie zachorował na oczy i prawie zupełną ślepotą został zagrożony. I właśnie wiadomość o tém niebezpieczeństwie, w jakiém znajdował się O. Hermann, doszła do nas, i wszystkich jego przyjaciół wielkim napełniła smutkiem i największą o niego obawą, gdy w tém dochodzi nas list drukowany, w którym z wielką radością i wdzięcznością ku P. Bogu sam donosi przyjaciołom swoim o zupełném uzdrowieniu swojém za cudowną przyczyną Najśw. Maryi Panny List ten w całości podajemy Szanownym Czytelnikom naszym, w tém przekonaniu, że nie mało zainteresują ich i zbudują szczegóły, z jakiemi świątobliwy zakonnik opisuje cudowne to zdarzenie, które niech wyjdzie na większą chwałę Boga Najwyższego i Najświętszéj Panny, któréj jest dziełem. Oto osnowa tego listu:

List O. Hermanna do 5 Bractw Dziękczynienia, które był założył w Lugdunie, Orleanie, Arras, Rodez i Londynie.

Pax Christi. J. M. J.

Bagnéres de Bigorre, 6. Listopada 1868.

Drodzy moi Przyjaciele w Chrystusie! Odebrałem właśnie nowy dowód tkliwéj miłości N. Maryi Panny ku swym dziatkom, a serce moje przepełnione jest radością, gdy o tém wam donoszę.

Już od przeszłego roku wzrok mój nadwerężony przez pracę, słabł z każdym dniem. Spędziwszy ostatnie te sześć miesięcy w rozkosznéj pustyni Karmelitów w Tarasteix, w wy-

sokich Pyreneach, zostałem dotknięty chorobą na oczy tak niebezpieczną*), iż z posłuszeństwa musiałem udać się do Bordeaux, aby poradzić się słynnego okulisty. Jeszcze na miesiąc przed wyjazdem zakazano mi wszelkiego czytania, nawet św. brewiarza. Uczony okulista zrewidował moje oczy z największą dokładnością, a zarazem najserdeczniejszą starannością, znalazł je w stanie, który wielką obudzał obawę i oświadczył, że odkrył w nich prawdziwe zamglenia, (obnubilacye) exkawacyą brodawek optycznych i szarą plamę na tle błonki przetakowéj. Z tego wszystkiego wnosił, że to nic innego, jak choroba, którą w medycynie zowią glaucoma, (katarakta) i oświadczył mi zarazem, że żadnym środkiem nie zdoła się zapobiedz zapaleniu, a że za najmniejszém zapaleniem trzeba będzie natychmiast uciec się do wycięcia błonki tęczowéj, operacyi wynalezionéj przez sławnego doktora Graefe w Berlinie, (który także na kataraktę szczęśliwie operował brata mego, Ludwika Cohen).

Tymczasem choroba moja wzmagała się z dnia na dzień, wyjechałem z Bordeaux, uzbrojony w konserwy, szkła powiększające, daszek zielony i mnóstwo innych środków zaradczych. Sandały Karmelity Bosego ustąpić musiały miejsca obuwiu futrzanemu, tonzura zakonna ukryć się musiała pod zarostem jak najcieplejszym. Oczy moje tak osłabły, iż znieść nie mogły blasku światła lampy lub świecy, a nawet łagodnego światła dziennego. W pewnych tylko chwilach udawało mi się czasem przeczytać kilka słówek, i to tylko z zadaniem gwałtu nerwowi optycznemu przez bolesne wysilenia.

W takim stanie rzeczy podsunął mi ktoś myśl, abym odprawił nowennę do Matki Boskiéj w Lourdes, która już kilka osób ślepotą rażonych cudownie była uleczyła. Propozycya ta daleko bardziéj przypadła mi do gustu, niż perspektywa operacyi chirurgicznéj, któréj skutek do tego był jeszcze bardzo wątpliwym. Przypomniałem sobie, że 22 lat temu, Marya uprosiła dla mnie u Boga w N. Sakramencie utajonego uzdrowienie nieskończenie ważniejsze od uzdrowienia oczu cielesnych, wyzwoliwszy mię z ślepoty żydowskiéj, że późniéj wstawieniem się swojém wywiodła z ciemności żydowskich kilku członków mojéj familii, że daléj, trzynaście lat temu prośbami swemi uzyskała u Boskiego swego Syna zbawienie matki mojéj na łożu śmiertelném, na którém leżała jeszcze nie ochrzcona i pomyślałem sobie, że ponieważ uleczenie duszy bez porównania trudniejszém jest od uleczenia ciała, nie godzi mi się wątpić, żebym nie miał doznać skutku Jéj dobroci tak pełnéj miłosierdzia.

Rozpocząłem więc nowennę 24. Października, t. j. w dzień św. Archanioła Rafaela, który także z ślepoty uzdrowił Tobiasza. Codziennie maczałem oczy w wodzie uzdrawiającéj, czerpanéj w cudownéj jaskini, i codzień modliłem się do N. Panny Niepokalanéj i wiele świętych dusz ze mną modliło się do Niéj.

Szóstego dnia nowenny udałem się pieszo z naszego klasztoru Bagnéres do Lourdes, pragnąc odprawić tę pielgrzymkę w sposób, któryby mi dawał największą rękojmię pomyślnego skutku. Już w Bagnéres z każdym dniem nowenny doznawałem pewnéj ulgi w mojéj chorobie, i to w chwili, gdy wodą z jaskini oczy sobie obmyłem. Nie zaniedbałem nawet tego, aby to polepszenie kazać zakonstatować za pomocą oftalmoskopu, przez który lekarz mógł dojrzeć, jak kongestya w organach ocznych stopniowo się zmniejszała, kiedy prócz owéj wody cudownéj żadnego innego nie używałem środka.

Nareszcie ostatniego dnia, w uroczystość Wszystkich Świętych, właśnie gdym był w saméj jaskini tuż obok studni, nie spostrzegłem już żadnego symptomatu mojéj choroby. Od téj chwili piszę i czytam, ile mi się podoba, bez okularów, bez żadnych środków ostrożności, bez wysilenia, bez zmęczenia, mogę patrzeć na światło słońca, gazu lub świecy bez żadnego nadwerężenia; wdziałem znów na nogi swoje sandały, kazałem sobie wygolić tonzurę, uzyskałem to, czegom pragnął nadewszystko, t. j. żebym mógł daléj prowadzić życie pustelnicze na kochanéj naszéj pustyni, słowem, jestem radykalnie wyleczony, a według mego przekonania najgłębszego uzdrowienie to jest cudem, który zawdzięczam wstawieniu się N. Panny.

I dla tego czuję potrzebę rozgłoszenia, o ile odemnie zależy, téj dobroci serca Maryi, i proszę wszystkie dusze miłujące tę najtkliwszą Matkę, aby dziękowały P. Bogu za mnie, a zarazem wzywam wszystkich, którzy cierpią, aby z wszelką ufnością uciekali się do Téj, któréj jeszcze nikt nadaremnie nie wzywał.

Słówko o korespondencie rzymskim do Czasu.

W korespondencyach rzymskich do *Czasu* znajdujemy od kilku tygodni tę samą niechęć ku Stolicy św. co dawniéj i tę samę tendencyą, aby rząd papiezki zawsze w złém świetle przedstawić. Przez pewien czas wiadomości tego korespondenta, nie mieszkającego już w Rzymie, lecz zawsze z Rzymu datującego swe doniesienia, mniéj były nieprzyjazne, mniéj kwasem uprzedzeń i złego usposobienia zaprawione. Teraz korespondent występuje otwarciéj w interesie rządu włoskiego, i gdzie tylko może, sili się szkodzić w opinii sprawie papiezkiéj. Dowodem tego są dwa ostatnie listy jego z 18 i 20 listopada zamieszczone w n. 273 i 275 pisma krakowskiego. Na upór i złą wolą nie ma lékarstwa, i nie myślimy zgoła wytykać i roztrząsać bliżéj słów ubliżających Stolicy Apostolskiéj, a niezgodnych z prawdą. Chcielibyśmy tylko zapytać się *Czasu*, czy to zgadza się z jego sumieniem katolickiém, gdy dozwala w swych kolumnach zohydzać to, co dla każdego katolika jest nietykalne? Dodajemy jeszcze, że jak zwykle, tak i tą razą korespondent obdarzony jasnowidzeniem, wié i przepowiada naprzód, o czém będzie mowa na konsystorzu w marcu roku przyszłego.

W téj chwili odbieramy num. 279 *Czasu*, w którym obszérna korespondencya rzymska z dnia 25 listopada zajmuje się wyłącznie opisem exekucyi śmierci na Montim i Tognettim. Jużeśmy w innym artykule powiedzieli, że korespondent stoi po stronie dwóch zbrodniarzy, i tkliwym swym opisem ostatnich chwil ich życia chce również i serca czytelników ku nim pociągnąć. To mu się udać może, bo w liście ostatnim z wielkim artyzmem skreśla cały przebieg téj exekucyi, choć oczywiście nie był jéj przytomny. Korespondent dopuszcza się winy i ciężkiéj winy, że tym samym duchem przejęty, co dzienniki radykalne, gromi surowość sądów papiezkich, posądza kardynała Antonellego o wyraźne matactwa, Ojca św. o słabość niezwykłą obwinia, rzecz samą w sobie jasną mąci, a w dusze polskie, często obałamucone w sprawie Apostolskiéj Stolicy, jad nienawiści zaszczepia.

Czas na to nie baczy — a *Czas* — katolicki!

Wydawnictwa ludowe.

Lubo praca nad oświeceniem ludu naszego nie przybrała jeszcze takich rozmiarów, żeby skutecznie mogła zapobiegać gangrenie, która coraz więcéj psuje nam zdrowe i miłością wiary przodków bijące serca ludu naszego, jednakże widoczną jest rzeczą, że dobre chęci na tém polu coraz więcéj się budzą, z dniem każdym przybywają nam nowi pracownicy, i sprawa ta tak ważna

nowych oczekuje przyjaciół nie szczędzących ofiar na cel tak szlachetny.

W ostatnich numerach *Tyg. Kat.* wyczytaliśmy z nietajoną radością projekt wydawnictwa książeczek ludowych na Szlązku w Piekarach, które taniością swoją mogą znaleść przystęp i do najuboższéj chaty wieśniaka. To téż Księztwo nasze tak przeważnie katolickie i polskie a zwłaszcza duchowieństwo powinno poprzeć zacne usiłowania tych prawdziwych pasterzy na Szlązku, którzy lud pogrążony dotąd w grubéj ciemnocie dla braku odpowiednich szkół, oświecić pragną na drodze właściwéj. A lud ten godzien współczucia naszego, godzien, abyśmy dla jego oświecenia i polepszenia doli łożyli ofiarę z mienia i sił naszych, bo mimo długotrwałego prądu przeciwnego nie wyziębił w sobie wiary przodków swoich. Oby tylko dyecezyanie nasi chcieli tak zbawiennemu dziełu przyjść w pomoc pracami swemi i liczną subskrypcyą, a z pewnością obfite będziem z swéj ofiary zbierali plony.

Wydawnictwo księdza Bażyńskiego w Poznaniu, niezmordowanego pracownika na polu oświaty ludowéj, chociaż przez pewien czas nie dało znaku życia dla braku prac wygotowanych, na nowo się ożywia, wydając w książeczkach tanich przystępne dla ludu dzieła dawnych wieków, i jak słyszeliśmy, krząta się obecnie około puszczenia w obieg dzieła nowego historyi narodu polskiego przez Siemieńskiego, znane *Wieczory pod Lipą*. Te wszystkie wydawnictwa wymienione pod okiem katolików, wiernych Kościoła synów, przyczyniają się nie mało do zaszczepiania oświaty i miłości Boga i bliźniego w sercach ludu, i dostarczają w naszém Księztwie prawie wyłącznie ludowi strawy duchowéj.

Od dwóch lat istniejące w Krakowie „Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych Trzecieskiego," które od pół roku przybrało nazwę *Towarzystwa przyjaciół oświaty*, zasługuje na baczną uwagę katolików, a w szczególności duchownych, którym z urzędu powierzono straż nad całością wiary świętéj. Wydawnictwo to, gdyby miało czego nie daj Boże szerzyć dzieła z duchem i nauką Kościoła niezgodne, na tém pilniejszą ze strony naszéj zasługiwałoby uwagę, bo dla taniości i przystępnego wykładu przedmiotów traktowanych liczy mnóztwo odbiorców w Galicyi, Księstwie i Prusach Zachodnich. Dziwimy się mocno, że nikt dotychczas z szanownych duchownych nie zwrócił uwagi na niektóre dzieła tego wydawnictwa. Broń Boże, abyśmy chcieli posądzać p. Trzecieskiego o podkopywanie fundamentów wiary ojców, o zaszczepianie rozmyślne indyferentyzmu i materyalizmu, uchowaj Boże! abyśmy chcieli umniejszyć liczbę abonentów tak zresztą znakomitngo i dla kraju pożytecznego wydawnictwa, — ale jako stróże wiary i dogmatów kościelnych nie możemy być obojętnymi na niektóre dzieła tego wydawnictwa, by nam kiedyś in judice tremendo nie zarzucono „Habuerunt oculos et non viderunt, habuerunt aures et non audiverunt." Nie czując się za dosyć uzdolnionych ocenić dzieła wspomnianego wydawnictwa naukowe, potrącimy tylko o dzieło pod tytułem „*Self-Help*" na polski język przełożone, pod tytułem z *Pracą a prawdą*. Autor tego dzieła a za nim tłumacz przedsięwziął dowieść, że własna praca, ale usilna i wytrwała pokonają wszystkie zawody w życiu ludzkiém, stwarza bogactwa, zapewnia dobry byt, nietylko doskonali, ale wywołuje różnorodne zdolności i talenta. Przykładami bardzo trafnemi i przekonywającemi udowodnia jasno i dobitnie człowiekowi siłę niespożytą woli ludzkiéj, tak że przeczytawszy to dzieło, czytelnik sam sobie zarzuca, czemu tak nieoględnie zmarnował lenistwem i próżniactwem swój majątek, swoje siły umysłowe i fizyczne, czemu przez pracę niezłomną nie dobił się znaczenia i dobytku i czyni postanowienie odtąd mocne więcéj darów tych, których Opatrzność udzieliła człowiekowi na uszczęśliwienie swoje i bliźnich, nie marnotrawić. To była strona dodatnia dzieła, — zobaczmy teraz, czém nam autor wyrządza krzywdę i stratę niepowetowaną. Oto autor zapomniał zapełnie o Bogu, o łasce niebios, bez której choćbyś się z wołem zaprzągł, niczego nie dokażesz, jak mówi Pismo św. Jest w dziele wprawdzie tu i owdzie wzmianka o Bogu, o jego wszechmocy, ale bardzo oględna, autor widocznie szczędzi słów na wykazanie zależności człowieka od Boga, autor widocznie nie chciał za wiele szafować Bogiem i łaską niebieską, aby czytelnicy nie uwierzyli, że są tylko słabemi, znikomémi stworzeniami. To wszystko mimo ducha indyferentyzmu i materyalizmu, jaki z każdéj niemal stronnicy tego dzieła wieje, jeszczeby nas nie ośmieliło do tego wystąpienia, gdyby autor tego dzieła a za nim tłumacz na polski język na równi nie kładli Jezusa Chrystusa, Boga naszego z prostymi cieślami i rzemieślnikami, gdyby nauki jego nie porównywali z nauką chińskiego Konfucyusza. Autor a za nim tłumacz widocznie tu pokazali na swój sposób głęboką wiarę w Boga; wylicza bowiem autor sławnych rzemieślników krawców, szewców i wykazuje, czego się dorobili usilną i wytrwałą pracą, dalej wymienia znakomitych cieślów, i, o zgrozo! między nimi świętokradzkiém piórem kreśli imię samego Jezusa Chrystusa, cieślę jak się wyraża, który pracą i zacnością charakteru dobił się nieśmiertelnéj sławy, bo aż świat go ubóstwił. Cieszyliśmy się mocno wszyscy, że ani jeden nie znalazł się pisarz narodowy, któryby się ośmielił na polski język przełożyć bezbożne dzieło Renana — a tu w jedném zdaniu mamy tak jasno i niedwuznacznie wypowiedziane to, na co się sili Renana fantazya bujna i rzekome dowodzenie w całém jego ohydném dziełku.

Z całego tego dzieła *Pracą i Prawdą* wieje duch niewiary i zaraża czytelnika indyferentyzmem i mimo, że autor oględnie miejscami mówi o Bogu, szepce czytelnikowi do ucha owo rajskie „Eritis sicut Dei." Panowie literaci składający komitet tego wydawnictwa w Krakowie, powinni, jeżeli nie z miłości Boga i Kościoła, to przynajmniéj dla względów utylitarnych, dla tém łatwiejszego rozpowszechnienia się ich dzieł pomiędzy ludem miejskim i wiejskim, zawezwać do komitetu przynajmniéj dwóch teologów światłych, którzyby co najmniéj na rażące a z nauką Kościoła niezgodne ustępy bacznie uwagę autorów zwracali. Inne dzieła te, któreśmy przejrzeli, nie wykraczając w niczém przeciw powadze bożéj i kościelnéj, jako płody celujących naszych pisarzy, zasługują na rozpowszechnienie się, ponieważ są tanie i przystępnie napisane. Towarzystwo przyjaciół oświaty, jak słyszeliśmy, zamierza wydawać także dziełka wyłącznie dla ludu, tu więc nam duchownym pilnie baczyć trzeba. Ci panowie literaci wiele uczonych rzeczy pisząc o postępie, nie znają często i najelementarniejszych prawd katechizmowych, w skutek czego z niewiadomości wchodzą nieraz z pismami swémi w kolizyą z Kościołem i jego bozką nauką.

Poza granicami Księstwa w Berlinie wydaje p. Foerster książeczki dla „klas pracujących," jak sam je tytu-

łuje. Sądzimy, że tytuł ten dla klas pracujących znaczy dla kmieci, rzemieślników i kilkunastu naszych fabrykantów, boć innéj klasy pracującéj w tém znaczeniu u nas nie widzimy. Dla wymienionych klas ludzi zdaniem naszém książeczki p. Foerstera wcale są nieprzystępne, bo lubo przedmiot jest zajmujący i ważny, przedstawienie rzeczy jest za ścisłe, a wysłowienie za uczone i dla ludu niezrozumiałe.

Widzimy więc, że praca na polu oświaty ludowéj z dniem każdym się wzmaga; aby zaś, jak wszelkie dzieło i najświętsze przez ludzi spaczone być może, i to przedsięwzięcie gorzkich nie wydało owoców, starajmy się my kapłani, nietylko zagrzewać siebie i drugich do wytrwałości na tém polu, — ale, co nie mniéj ważna, bacznie śledźmy, czy czasem niepowołany nie zabiera się do téj roboty i z niewiadomości lub złośliwości nie wypleni tego ziarna, co ŚŚ. Wojciechowie, Stanisławowie usiali, co serca naszych ojców zapalało do poświęceń i bohaterskich czynów, co i dzisiaj do serca zbolałego wlewa nadzieję lepszych czasów.

Ks. B.

Kornela Ujejskiego reformatorskie zapędy.

(Dokończenie.)

Domyślać się można łacno towianizmu w pojęciach p. *K. Ujejskiego* z tego, co pobieżnie wypowiedział w swéj „Odpowiedzi.“

I tak o księdzu metropolicie lwowskim mówi: że w czasie „objażdżek dyecezalnych“ witany i przymowany wszędzie ze czcią przynależną wysokiemu jego dostojeństwu, rozgrzał swoje serce, *„a właściwie poddał je pokornie pod łaskę ducha, która na niego spłynęła.“* „Czy to sen?“ pyta się pan Kornel Ujejski i odpowiada: „Nie! *Nadchodzi od wieków oczekiwana epoka ducha i miłości.* Co sporne pójdzie w zgodę, — co krzywe, wyprostuje się, co gniewne, uśmiechnie się — co złe zaginie.“

Wypowiedział tu p. K. Ujejski: że Kościół Chrystusów zamarł, i że dla tego nowa doba nadchodzi mesyjaniczna, „epoka ducha i miłości;“ że samiż kapłani Kościoła dawnego *nie mocą Ducha św.*, którego w święceniu odebrali, lecz przez „poddanie się pokorne *łasce ducha*“ mogą działać zbawiennie w trzódzce Chrystusowéj.

Toż twierdził herezyarcha *Towiański*: że „dziś przez sfałszowanie światła Jezusa Chrystusa, albo przez zagaszenie jego zupełne, przez nieżywienie ognia bożego w sercach, znów kolumny ciemne ziemię zaległy; Bóg (atoli) postanowił z swego niegasnącego nigdy miłosierdzia, aby nietylko światło Jezusa Chrystusa oczyszczone i rozżarzone zostało, lecz aby tak się natężyło, iżby gwiazda zarząca się ze światła zapaliła się, aby *ogień miłości* bozkiéj, ogień nowego zakonu uweselił posępną ziemię, aby więcéj berła, więcéj władzy piekło straciło“...... „Po wstrząśnieniu ogólnem po rozpoczęciu się sprawy potęga złego ustępując przed światłem zarzącem się zmniejszy się — po bitwie entuzyazm miłości Bozkiéj do tak wysokiego dojdzie stopnia, że złe na czas zupełnie ustąpi.“

„Ale nigdy jeszcze dotąd światła Kolumna berła ziemi nie miała...... Ach! nikt dotąd nie pomyślał, aby Bóg po spełnionych dwóch tysiącach księżycowych niebieskich roków tak silne zrobił upomnienie się o marnotrawiący się dar łaski i miłosierdzia swego, dla ziemi przez Jezusa Chrystusa zesłanego, że po tym upomnieniu się *nowa łaska i miłosierdzie* zleje się..... i berło i kierunek ziemi światła kolumna trzymać będzie.“

Co prorok samozwańczy wyraził niby to mistycznie, zawile, ciemno, to p. Kornel Ujejski krótko, zwięzłowato wypowiedział, ale nic nad to, ani nic innego. Odrzuciwszy brednie kabalistyczne Towiańskiego o onych kolumnach światłych i ciemnych, co wydzierają sobie panowanie nad duszą człowieka, a w co wiary swéj wyraźnie nie wyznał p. K. Ujejski; resztę mieć będziem w słowach p. K. Ujejskiego, wziętą całkiem z Towiańskiego pomysłów.

Katolicka nauka ich obu wyobrażeniom przeciwna. Wierni Chrystusowi wierzymy i my wszyscy, że Bóg społeczność ludzką udoskonala i prowadzi do „dopełnienia wieków;“ ale czyni te ciągle przez *Ducha św.* działanie, „przez którego miłość rozlana jest w sercach naszych“, ale nigdy ten Duch św. nie opuszcza Kościoła swego, i nigdy też mowy być nie może *o osobistéj jakiéj epoce Ducha św.* gdy zawsze cała Trójca św., jak żyje, tak i działa społecznie. Chrystus Pan, Bóg i oraz człowiek w jednéj osobie Syna Bożego *już wszystko objawił sam i przez Ducha świętego którego obiecał, ale też już zesłał* na Apostołów, i przez którego rządzili ciągle Kościołem rozdającym ludziom łaski jego Sakramentalne i prawdę jego objawienia, przez którego nieomylnym czyni Kościół w obec błędów wieków wszystkich. *Towiański* zasię jako też p. K. Ujejski wyczekują nowéj doby jakiejś „miłości i ducha;“ nie Ducha nawet św., o którym Towiański nigdzie nie mówi, lecz ducha, t. j. panowania wyższych światłych kolumn duchowych, które sprowadzić na ziemię *miłością* może ktobądź; gdyż *„jasne kolumny nadchodzą do gorących miłością Boga i bliźniego serc naszych, kiedy Bóg bez tego gorzenia, nie może kolumny swéj łaski spuścić.“* Nie chcielibyśmy na pewne twierdzić, że przyjmuje p. K. U. dziwaczne mrzonki towianizmu o kolumnach światłych i ciemnych; — aleć widocznie czuje się on w podobnie nadzwyczajny sposób przepełniony towiańszczyków *„duchem Bożym, duchem Polski.“* Wyraźnie mówi o napełnieniu swym przez *ducha* tego: „po tych artykułach miał nastąpić cały łańcuch innych — mogło ich być sto, dwieście, trzysta — ile potrzeba; *autor czuje w sobie odemkniętą śluzę, przez którą duch Boży, duch Polski pragnie wylać się z niego szeroką, nieustającą kataraktą.“* Nie mówi, że jest *Ducha św.* pełen, lecz *ducha Bożego*, który jest zarazem *duchem Polski*; co przypomina nam żywo słowo *Towiańskiego* który, gdy kusił ks. Piotra Semenenkę, podobnież nazwał *Polskę słowem Bożem.* (Cfr. Towiański et sa doctrine jugée par l'enseignement de l'église par Pierre Semenenko, pag. XIV.)

Nie jest tu mowa o jakim tylko natchnieniu, lecz w całym znaczeniu tego wyrazu, o posiadaniu, o opętaniu przez *ducha.* Sam o tym p. Kornel Ujejski świadczy, rozróżniając w sobie jakoby dwie osoby, *„ducha* onego *Bożego, ducha Polski,“* pragnącego się zeń wylać w katarakcie setnych artykułów, i siebie, swą ludzką jaźń, jak Trentowski nasze „ja“ nazwał.

I tak mówi: „Z powodu drobnych nieporozumień w redakcyi, które *autora tych artykułów hamowały* w

jego pracy, *zmuszony byłem w jego imiéniu* pisemny zawrzeć z redakcyą układ.“ — A daléj: „*Autor tych trzech artykułów, związany ze mną, jak to mówią, duszą i ciałem, czuje potrzebę, przez moje usta odkryć moim* przyjaciołom myśl, która go do pisania tych trzech artykułów natchnęła.

Tego „ducha bożego, ducha Polski“ pełen, nie wiém, czy się pan K. U. nie ogłosi nowym Mesyaszem, o którym „Biesiada“ Towiańskiego tak wieszczy: „Przez Proroka widziany Mąż trudem trudów, Ducha miłością ludów w liczbie błogosławionéj 44, już odebrał rozkaz najwyższy... przeprowadzenia nowéj łaski.“ — Takby można się dorozumiewać: bo wszak to pan K. U. z pełności swego „ducha bożego, ducha Polski“ gotów nawet obdzielić biskupów naszych, zastąpić im, zgromadzonym na Soborze, inspiracyą Ducha św.; i o to się jedynie troszczy, żeby „z *dosadną odwagą* i natchnieniem“ wypowiedzieli, co im poda — a „daliby nowy zaszczyt naszéj Ojczyźnie; bo wszak „ducha bożego, ducha Polski“ pełen, w imieniu Polski kapłańskie daje błogosławieństwo Helwecyi.

Nie wiémy o tém, żeby p. K. U. miał poruczone mówić w imieniu całego narodu na onym niezrzałym obchodzie pamiątki konfederacyi barskiéj w Rapperswyl; a sam o poleceniu takowém nie mówi, lecz raczéj w odpowiedzi swéj wspomina, że tak sobie „wyjeżdża do Szwajcaryi, gdzie przez kilka tygodni po Alpach włóczyć się będzie;“ mocy błogosławienia kapłańskiego nie odebrał jako syn katolickiego Kościoła: więc przywłaszczył sobie i prawo przemawiania w imieniu Polski i prawo udzielania błogosławieństwa „prawie kapłańskiego.“

Przywłaszczył sobie, jak powiedział na onczas, przeto że jest „wieszczem narodowym.“ Nikomu innemuby nie uszedł taki tytuł prawny: bo *wieszczem narodowym* nie autor jakich wierszy, choćby skarg Jeremiego, sam siebie, lecz naród go uznać powinien; bo zresztą choćby komu i było od Boga dane wejrzeć w przyszłość i rozkryć przed okiem ducha narodu, to jeszcze by mu nie było wolno błogosławić i tak za kapłana jakiegoś najnowszego testamentu się udawać.

Ale jak tylko będziem mieli na pamięci, że „duch boży, duch Polski“ szeroką kataraktą chce się wylać z pana Kornela Ujejskiego: wtedy dziwno nam nie będzie, że wcieleniem będąc niejako „ducha Polski“ mógł się nazwać *wieszczem narodowym;* a że mógł jako wieszcz błogosławić po kapłańsku, kiedy ten „duch Polski“ jest oraz „duchem bożym.“

Aliści na to pozwolimy sobie uwagę tę uczynić, że w obec Towiańszczyków prawo jego mogło być niezaprzeczone, ale niestety! w obec Katolików nie, i nigdy przenigdy nie: bo wszystkie samozwańcze „duchy boże,“ choćby się i „duchem Polski“ z nich któremu nazwać się podobało, są *dii gentium et daemones,* są bożyszczami pohańskiemi i djabłami.

„Słuchaj Izraelu, Pan Bóg twój jeden jest,“ którego wyznaje św. Kościół katolicki, Bóg jeden w Trójcy osób boskich, w naturze bożéj jedyny Bóg.

W obec Towiańszczyków prawo pana Kornela Ujejskiego może być niezaprzeczone, choćby do nazwania się Messyaszem.

Towiański bowiem nie uczy, jak Kościół św., że Chrystus Pan przez swą ofiarę posłuszeństwa aż do śmierci, a do śmierci krzyża nas od śmierci wykupił; lecz bredzi, że „otworzył drogę do nieba, pokonał piekło t. j. nizkie duchy zalegające ziemię — a to przez zasianie światła boskiego nauką swoją najświętszą, życiem, przykładem, a nadewszystko tém świętem boskiem tchnieniem, które puścił na wielu“ — i „odkupił ród ludzki, bo świętością swoją sprowadził światłą kolumnę, i te grube ciemności ziemi rozpędził.“

A takim, jak Chrystus Pan, Zbawicielem może być każdy duch na świecie wedle Towiańskiego; „bo jednėm pokornėm, czystėm i gorącėm westchnieniem (!) może się sprowadzić cała kolumna światła ze świętych pańskich złożona, na któréj czele jest sam Bóg kolumny, o niepojęta łasko Boga!“ a przecież i Jezus Chrystus, który u niego nie jest Bogiem, lecz „*pierwszym po Bogu działaczem*“ również przez sprowadzenie kolumny światłéj miał nas zbawić!

Czy pan Kornel Ujejski poszedł za wezwaniem Towiańskiego: „rozpalajmy światło w sercach naszych przez modlitwy, akty pokory, skruchy, miłości, przez dociskanie się, przez prace wewnętrzne: i czy w skutek tego kolumna ciemna na światłą się mu zamieniła,... sprowadziła nadewszystko opiekę wyższą, światło i siłę dla sprawy do dzieł olbrzymich?“ i „czy te kolumny światłości mocą prawa harmonii zalegają wnętrze jego i podług swéj natury rządzą nim,“ tak że sam czuje się wyraźnie w posiadaniu jakiegoś ducha różnego od duszy swojéj, — ducha który „się w kataraktach artykułów z niego chce wylać,“ a nazywa mu się uroczym mianem „ducha bożego, i ducha Polski?“, na to wszystko winien nam dać pan Kornel Ujejski stanowczą odpowiedź.

Cieszylibyśmy się, gdyby pan Kornel Ujejski zaprzeczył naszym domysłom, gdyby się wyparł Towiańskiego bredni bezecnych, i gdyby je potępił jak je potępia Kościół św., który Towiańszczyków księgę zakonu nowego mesyanicznego „Biesiadę“ w Indexie zamieścił.

Cieszylibyśmy się, gdyby w ten straszny odmęt nauki, która zlewem jest pohańskich teozofii dualistycznych i żydowskiéj kabały, która odgrzebanym jest magów systematem dogmatycznym, nie zagrzęznął, jak każdego poety, wrażliwy umysł pana Kornela Ujejskiego. Tylu już nam podniosłych umysłów, szlachetnych, niepowszednich charakterów, zabiła ta herezya towianizmu: daj Boże, żeby nareszcie obłąkaniem, prawie dozgonném takiego *Adama* i *Juliusza,* zmarnieniem takich dusz wielkich odraziły się od niecnego herezyarchy wężowych, układnych pokus wszystkie polskie serca i umysły; daj Boże, żeby w tym fałszywym mistycyzmie bez dna i podstawy nie zginął na zawsze dla narodu piéwca skarg Jeremiego!

Tu niepodobna mi niewyrazić gorącéj prośby do Arcypasterzy w narodzie naszym, iżby na przyszłym Soborze wnieśli o uroczyste potępienie herezyi Towiańskiego, która w zastraszający sposób szérzy się i pomiędzy emigracyą naszą, zwłaszcza w Szwajcaryi, a nawet w kraju, mianowicie w Galicyi.

Gdyby mógł się zebrać uprzednio jaki synod prowincyonalny u nas, byłoby to wielkiém dobrodziejstwem, jak z wielu miar, tak i dla tego, że w czas mógłby zwrócić uwagę wiernych na jad przeklęty

bezbożnéj Towiańskiego nauki, którym się tylu truje. A ileż to jeszcze dusz przez nią może zmarnieć doczesnie, zginąć wiecznie!

Słowo jeszcze o panu Kornelu Ujejskim.

Pan Kornel Ujeski dał zgorszenie publiczne, folgując swym zachętkom reformacyjnym w zły sposób, bo potwarzając jedynych, co nam zostali, Ojców narodu, a dostojników najwyższych, książęta Kościoła świętego.

Sumnienie powie mu niezawodnie, co winien uczynić dla naprawy złego.

Biskupi przez niego spotwarzeni, niezawodnie więcéj go jeszcze, aniżeli inne swe owieczki, Bogu polecać będą, żeby mu ułatwił Pan Bóg drogę powrotu do wiary i do miłości prawdziwie chrześciańskiéj katolickiéj.

Niech za nim Boga prosi, ktokolwiek pragnie, żeby ta dusza, którą Bóg do wyższych celów powołał, kiedy ją tak ubogacił duchowo, nie zmarniała nędznie i nie zginęła na zawsze. —

Od dawna rząd moskiewski wszystkich sił używa, aby w całém swém państwie znieść religią katolicką, a szczególniéj w zabranym kraju i w Królestwie, do czego używa już ostatecznych środków, jako to: mordów, więzienia i konfiskat, aby tylko od wiary prawowiernych odciągnąć. Jednak dotąd piekielne plany pożądanego skutku nie przynoszą; wydrzeć komu wiarę, którą wyssał z mlekiem swéj matki i narzucić schizmę, nie tak łatwo można. Z Mińska gubernator przybył do pewnéj wioski, gdzie dotąd lud choć ciemny, ale pobożny trzymał się stale swojéj wiary, pomimo, że od kilkunastu lat nie widział księdza katolickiego i nie słyszał boskiéj nauki. Z początku na rozmaity sposób lud ten był prześladowany, ale kiedy nic nie pomogło, rząd zostawił na kilkanaście lat wioskę bez pasterza, narzuciwszy im popa schizmatyckiego. Otóż gubernator przybywszy do nich kazał ich zegnać w jedno miejsce, bardzo mile ich pozdrowił i zapytał, czy dotąd jeszcze pozostają w uporze katolicyzmu? A kiedy usłyszał potwierdzającą odpowiedź, zaczął obszernie mówić o schizmie i nadmienił, że jedzie z Petersburga umyślnie do nich z wielką wiadomością. Widzicie, rzekł gubernator, w Petersburgu u samego cara stał się wielki cud na potwierdzenie prawdziwości religii prawosławnéj. W tych dniach, mówił daléj, przybył sam Bóg na pokoje cara, zapytał go o zdrowie, kazał religią prawosławną rozszerzać, a potém pobłogosławił go i poszedł. Mówił to gubernator z wielkiém rozczuleniem i we łzach, dodając, że jest naocznym świadkiem tego cudu. A w końcu zapytał włościan: powiedzcie teraz, jaka religia jest prawdziwa? czyż religia katolicka ma takie cuda, jak prawosławna? Lud nieoświecony myślał długo, ale w końcu uległ kłamstwu, rozważając, że kiedy u cara tak wielki cud się stał, o jakim nigdy nie słyszeli w religii katolickiéj, wyrozumowali na swą zgubę, że religia schizmatycka musi być prawdziwszą, i poszli do cerkwi zapisywać swoje imiona, a gubernator za loiczne postąpienie obdarzony od cara złotym krzyżem. Obecnie rząd moskiewski po wielu gwałtownych wysileniach chwycił się środka zwolna działającego, a którego rezultat w swoim czasie ma przynieść owoc pożądany. Na sposób moskiewskiego synodu w Petersburgu założył w tém mieście niby synod katolicki, którego celem byłoby rozstrzygać wszelkie sprawy biskupów katolickich i wszystkich w ogóle wiernych należących do rzymsko-katolickiego kościoła. Chce przeto rząd moskiewski, aby biskupi, administratorowie dyecezyi i przełożeni zakonów na zawsze przerwali wszelkie komunikacye z Rzymem, udając się tylko do synodu w ważniejszych sprawach katolicyzmu. A ukryty cel rządu moskiewskiego ten jest, ażeby powoli narzucać synodowi swoje prawa i liturgie, a tak powoli i w swoim czasie synod i duchowieństwo i wszystkich wiernych zlać w jednę całość i przerobić na schizmatyków. Obecnie rząd moskiewski nakazał biskupom i administratorom, ażeby każdy ze swojéj dyecezyi wysłał delegata do wspomnionego synodu. Dotąd chodzą wersye nie pewne, kto wysłał, lub nie, ale dla wiernych i przełożonych jest to próba czyli sposobność odkrycia się przed światem, w jakim kto duchu postępuje. W kraju zabranym, a szczególniej na Litwie wyszedł surowy rozkaz, aby klerykom, którzy pokończyli seminarya, żadnych święceń kapłańskich nie udzielać, a gdyby ktoś gdzie indziéj przyjął święcenie, taki oprócz kary ma być wydalonym za granicę. Rząd moskiewski stara się, aby katolików zupełnie bez księży zostawić. W saméj wileńskiéj dyecezyi od roku 1864 na 600 księży ubyło przeszło 300, niektórzy poumierali, a do 200 jęczy po więzieniach i na Syberyi. Do kościołów parafii opróżnionych bez księży narzucają popów schizmatyckich, z którymi lud ani do kościoła iść nie chce, ani jakiéj innéj posługi duchownéj od nich żąda. (*Krzyż*).

— *St. Annaberg.* Obchodzono tu z wielką wspaniałością i napływem pobożnych, uroczystość Krzyża świętego. Około 50,000 pielgrzymów nawiedziło to miejsce, 13,000 kommunikantów, ledwie starczyły pobożnym, cisnącym się do Stołu Pańskiego. Duchowni mieli dziewiętnaście kazań. Dwudziestu siedmiu kapłanów, a w tych liczbie 12 zakonników pracowali od rana do nocy.

Korespondencya Redakcyi.

Adm. *Czasu*: Prosimy — *gratis.* — Ks. S. w Z. Dziękujemy. — Koresp. z Czech zamieścimy w r. p. —

ODEZWA.

Z nadchodzącym Nowym Rokiem mamy zamiar wydawać *Tygodnik* w dwóch arkuszach, nie podwyższając prenumeraty. Lubo nie dostatecznie wspierani przez tych, dla których to pismo kościelne przeznaczone, byliśmy jednakże dla nawału z dniem każdym mnożących się materyałów zniewoleni liczne dawać dodatki: to arkuszowe, to półarkuszowe. Mimo to nie zdołaliśmy wszystkiego ogarnąć i przedstawić wszechstronnie ruchu i prac na polu życia kościelnego. Mniemamy, że rozszerzając ramy *Tygodnika* w roku przyszłym, będzie nam łatwiéj wywiązać się z zadania, i że z drugiéj strony zwiększy się tém samém koło czytelników naszych, dotychczas tak szczupłe, że tylko silna wiara w lepszą pod tym względem przyszłość nie pozwalała nam porzucać raz przyjętego obowiązku. Niechajże czcigodne Duchowieństwo zechce przyłożyć się gorliwiéj nietylko do utrzymania, lecz i do rozwinięcia się i utrwalenia jedynego pisma ściśle katolickiego na wszystkie dyecezye polskie. Na to poparcie liczymy i z nową otuchą będziemy prowadzić dzieło nasze w Imię Pańskie daléj.

Ks. J. Stagraczyński.

W Galicyi prenumerata kwartalna na *Tygodnik* wynosi 2 fl. w. a.

Adresować należy: *Do Redakcyi* Tygod. Katol. w Poznaniu, Nowy Rynek, 16.

Nakładzca i Redaktor ks. Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami Drukarni Tygodnika Katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu. W komisie L. Streisandta w Grodzisku.